



ROK LVIII

MISŁO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK NR 15

WARSZAWA, 11 KWIETNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Dziękowanie za wiosnę—*Marja Dąbrowska*. O harcerstwie—*W. Prażmowska*. Prawda, utylitaryzm, brak odwagi cywilnej, „pierwiastek pałubiczny” i t. p. „historyjki”—*K. S.* Odpowiedź na artykuł p. Zawisłanki p. t. „Djagnoza”—*M. Łopuszańska*. Wiersze—*Zofja Rościszewska*. Nic—*E. H.* Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Wędrowki Dźerdżelesa, tłum. z serbsko-chorwackiego (dok.)—*M. Zn. Szczepańska*. Od liryki do epiki, od weltszmeru do dogmatu—*Stefanja Podhorska-Okołów*. Prawa i lewa ręka—*Marja Kuncewiczowa*. Żółkiewski a Lucjusz Emiljusz—*Z. Szmydtowa*. Gandhi „Wielka dusza” i dji—*C. W.* Zdrowie naszych dzieci—*A. K.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z Refleksyj na czasie—*Kazet*. Wychowanie fizyczne i sport—*I. Fabrycowa*. Strzałki—*al.* Z Teatrów—*p.* Z Ruchu Wydawniczego. Pisanki. List z Paryża—*Sekwa*. Pięćdziesiąt lat kapelusza—*Spero*. Z życia stolicy—*W. L.* Zasady życia towarzyskiego—*J. S.* Wiosenne kłopoty z futrami—*Pani Elżbieta*. Jak się obrabia dziurki—*Z. M.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy 1) „Biały Paw”—powieść *Henry Bordeaux*—autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) *dok.*—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckigoe Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. **ARKUSZ WZORÓW.**

MARJA DĄBROWSKA

DZIEKOWANIE ZA WIOSNĘ



łody dzień wiosny zaczyna się nie wcześnie i nie późno, ale zaczyna się chyżo.

Nadbiega pieszczotliwie, ufnie, zuchwale jak młode zwierzę, które jest całe trafnem doznawaniem istnienia.

Z ciszy snu wybija mnie wtedy turkot aeroplanu.

Aeroplany latają o poranku! To w mieście pierwszy znak wiosny.

Słyszycie ich cudny głos?

Furczy, mruczy, szumi śpiewnie, chrapie prędko, rzezi, szeleści, potyka się, dudniąc po błamach wonnego powietrza, gra tam na górze jak organy, a w końcu dzwięczy tak, jak za młodu na wsi dzwęczały w gąszczu kasztanów chrabąszczne rzewnym basem.

Nikt nie wie, jakim sposobem może w aeroplanach istnieć tenże sam urok niezwalczony — jednak istnieje.

Obracam się na łóżku, w stronę okna, za którym w kwietniowej chmurze huśta się ciemny samolot — i co widzę! Szyby, szyby są czysto umyte.

Już wiem, czego tak bardzo cieszyłam się na przebudzeniu.

Okna wczoraj pomyli i teraz między ramami rozpościera się czystość łąkowego strumienia. Kształt miasta gnie się cokolwiek za szybami, niczem by dno za wodą.

Świeże, śnieżne firanki lśnią jak srebro zimnych roztopów. Koguty słyszać z przedmieść wyraźnie, jak

przez tubę. Wiosna krzyknęła i donośne echa wzbudziła we wszystkich tonach świata i wszystkie je wzmocniła aż do zwarjowanego forte fortissimo radości.

Tramwaje płyną z szumem przez modre szyny, jak sunęły kiedyś po ścieżkach napuszone indyry. Gulgoczą tęnym dzwonkiem, lśniąco, wilgotne, aż fjołkowe od żywej czerwoności.

Dorożki wyskakują z bocznej ulicy i tupiąc zostają w tyle, a samochód roztrąca je w dwie strony.

U ciężarowych wozów konie się rozbiegały, konie się rozbiegały i pędzą w huku żelaznych obręczy ze śródmieścia wprost na zieloną kreskę oziminy, wprost na niebieską kreskę Wisły, przeciętą komi-nem purpurowym.

Na górnych piętrach ulicy po-
otwierano okna i dźwięki forte-
pianu plusnęły w hałas rozjazdu.

Wszędzie ktoś gra. Zowąd wije
się długi ton skrzypiec, a w po-
pielatem podwórzu ćwierka głos
mandoliny.

W ruchu, w przebiegu i łoskocie
bezpieczne, i niepozłękane stoją
na brzegu jezdni cynerarje, żonki-
le i prymulki w rudych donicz-
kach.

Nad niemi, na stołeczkach tale-
rze przyłasczek, uwieńczone pęka-
tą babą, jak brunatna majolika,
zdobiąca kąt ulicy.

Z szarych przekupni rosną kolo-
rowe, olbrzymie winogrona miasta,
pyzate baloniki. [Palą się, pobły-
skuja, rumienią i zielenią. Ta-
czają się po niebie, dotykają ostro-
żnie powietrza, odbijają się o nie,
jak o niebieskie szkło, i płasają,
płasają nam w rękę.

Świeże słońce brodzi w świet-
listej rzece nadulicznego nieba.

Wężę gumowe szurają po trotu-
arze i całe miasto zbryzgują błę-
kitami. Promienie słońca pachną
na mokrym asfalcie — a przez ten
czas — w Botanicznym Ogrodzie
zaczyna kwitnąć pigwa.

Ogród zamknięty i nikt nie widzi,
jak tam o włos od zgiełku niena-

ruszona niczem, niepokalana cisza
podkłada się pod czarowne gałę-
zie japońskiej pigwy, okryte pon-
sowym kwiatem. Tysiąc ust blad-
szkarłatnych całuje z każdej gałę-
zi oczy gołębiej przestrzeni, w któ-
rej na chlubę świata kwitnie co-
rocznie ten krzew, jak purpurowe
serce wiosny, palające na szmarag-
dach trawnika.

O pięć kroków trzaskają skrami,
gwizdzą na skręcie, tramwaje, i auta
pożerają, becząc, drogę — a tutaj —
sł y c h a ć, jak odłamuje się płá-
tek z kwiatu pigwy, i szepcząc, prze-
myka wśród gałęzi.

Tak może być słyszeć tylko jak
bije nasze serce w największym
zgiełku świata,

A teraz nadchodzi zmierzch.

Pod turkusowem niebem lampy
wspłoneły niczem blade truskawki,
Różowym sokiem zalały plac przed
kościółem.



Tylko szyny tramwajów czerpią
jeszcze barwy z górnego, pawiego
nieba, które na dole złotym ekra-
nem zamyka zachodnią stro-
nę placu, podczas gdy naprze-
ciwko deszczem nabrane chmury
pachną w głębi ulicy jak fiolety.

Granatowa noc bierze zdyszane,
zbiegane miasto w soczyste obję-
cia młodości.

Gwiazdy — kieliszeczki hja-
cencjów, rozproszone w namiętnej,
świeżej ciemności, kwitną białe na
niebie — a gdy to się dzieje, mia-
sto klęka i z m a r t w y c h w s t a -
ł e m u t e j n o c y B o g u składa swe
dziękowanie za cud ponad cudami,
za wieczny, za niewątpliwy powrót
wiosny.

Za to, że pigwa kwitnie w Bota-
nicznym Ogrodzie. Że ptaki powra-
cają napewno. Że wszystko jest
pomyte — pobielone — rozjaśnione.

Że okna mogą być otwarte.

I że się przez nie wkrada nadzie-
ja — nasz cierpliwy sojusznik —
tysiąc razy zabity i zawsze powra-
cający — jak zawsze powraca
wiosna.

I zawsze zmartwychwsta-
jący — jak Ty — Panie —
Jezu — Chryste — Boże
kwitnących drzew — Boże
nasz Dobrotliwy. —

O H A R C E R S T W I E



Harcerstwo, założone
w Polsce przed czter-
nastu laty, uzyskało
sobie już dziś pełne
prawo obywatelstwa
w naszym społeczeń-
stwie. Gdy do nie-
dawna jeszcze debatowano często,
czy można pozwolić na zakładanie
drużyn, dziś przyjaciółom i wro-
gom harcerstwa pozostało już
tylko jedno zagadnienie: jak pod-
nieść pracę harcerską w całym

kraju do należytego poziomu.
Warto też teraz rozważaniom
o harcerstwie poświęcić nieco wię-
cej czasu.

Syntetyczne ujęcie całokształtu
zagadnień harcerskich jest rzeczą
bardzo trudną ze względu na ogrom
i różnorodność materiału. Żeby
więc odtworzyć istotę tego ruchu,
który w naszym kraju ogarnął już
dziesiątki tysięcy młodzieży, posta-
ram się w kilkunastu szkicach
oświetlić jego różne strony.

Wbrew utartym zwyczajom nie
zaczę, ani od genezy ruchu ani od
jego historii, lecz postaram się zo-
brażować dzisiejszy stan harcerstwa
i nasze nań poglądy.

I.

IDEOLOGJA HARCERSKA I JEJ ZNACZENIE DLA DZIECKA

Opinie społeczeństwa o harcer-
stwie są podzielone. Gdy kierowni-
cy pracy harcerskiej uważają je za

potężny ruch ideowy, pisma nasze wszelkie wzmianki o Związku Harcerstwa Polskiego umieszczają w dziale: „Sport” lub „Wychowanie fizyczne”. W dziewięciu dziesiątych powodem jest tutaj ignorancja, pewna jednak częśćka przyczyn tkwi w samej istocie harcerstwa. Każdy zdaje sobie bowiem sprawę, że harcerstwo wnosi nowe metody w takich rzeczach jak wycieczki, gry, utarło się natomiast zdanie, iż w zakresie swej pracy ideowej harcerstwo nie wnosi nic nowego. Rozpatrzmy tę kwestję bliżej.

Przy ocenianiu każdej organizacji ideowej musimy wziąć pod uwagę obie rzeczy—treść ideologii i metody jej realizowania. Jakaż jest zatem ideologia harcerska? Oficjalną jej podstawą jest znane oczywiście wszystkim przyrzeczenie i prawo harcerskie. Czy ideologia ta wnosi co nowego? W dziedzinie etyki nic. Widzimy, że wszystkie zawarte w prawie zasady etyczne są wzięte z etyki chrześcijańskiej, która też jest faktycznie podstawą ruchu skautowego. Najwyższe przykazanie Chrystusowe: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca swego, a bliźniego twego jak siebie samego”, znajduje tu swoje odzwierciedlenie w słowach przyrzeczenia i czwartego prawa. Dodane jest tu jednak jeszcze pojęcie służby Ojczyźnie, czynnik, bez którego hasło służby bliżnim byłoby dzisiaj jeszcze celem bez środków. Zauważymy natomiast w prawie cały szereg rzeczy, które nie leżą w płaszczyźnie etycznej, jak np. pogoda i wesołość, rycerskość, dążenie do poznania przyrody, a jednak są integralną częścią ideologii harcerskiej. I aczkolwiek oczywiście nie są to rzeczy w świecie nowe, to jednak skauting jest pierwszą organizacją, która na te rzeczy położyła nacisk, stawiając je w jednym szeregu z nakazami etycznymi.

Jakiemi zaś metodami jest realizowana ta ideologia? Ponieważ oczywiście do tego zmierza całokształt pracy harcerskiej, więc musimy to rozpatrzyć kolejno. Na czoło wysuwa się tu zagadnienie, czy ideologia ta jest znana dzieciom i jaką drogą osiąga się jej

świadome realizowanie. Przecież już od najmłodszych lat dziecka dom, a później szkoła pracuje nad wychowaniem u niego zasad etycznych. Czyż harcerstwo będzie umiało zrobić to lepiej?

Harcerstwo przyjmuje do swego grona dziewczynki w wieku 11—13 lat, kiedy są one prawie dziećmi. Ten moment wstąpienia to chwila, w której harcerstwo zyskuje przewagę nad dotychczasowymi czynnikami wychowawczymi. Mamy tu bowiem akt własnej woli dziewczynki, która nie zmuszana przez nikogo zaciąga się w szeregi harcerskie. Dom i szkoła istnieją jako fakty dokonane, niezależnie od jej woli; wstąpieniem zaś do harcerstwa rozpoczyna ona własne tworzenie swego życia. Ten moment musi owocnie wykorzystać harcerstwo i temu nie powinni się przeciwstawiać rodzice i szkoła. Jakże często rodzice i nauczyciele zazdrośni są o swe wpływy wychowawcze i to nie o ich jakość,

a o ich źródła. Rodzicom jest przykro, że oto ktoś obcy zbliża się do duszy dziecka i może wzięje się w nią głębiej, niż im się to dotąd udało.

Konflikt, jaki w naszym społeczeństwie panuje tak często pomiędzy starszemi a młodszymi, przepaść jaką nierzadko widzimy między rodzicami a dziećmi, to nie jest sprawa, którą mogłoby rozwiązać jedno pociągnięcie pióra. Badanie naukowe tej kwestji, gdzie psychologia, psychopatologia i socjologia miałyby dużo do powiedzenia, wydaje mi się rzeczą niezbędną. Podejdźmy jednak do tego zagadnienia od strony praktycznej. Wszyscy rodzice muszą być przygotowani na to, że dziecko ich (o ile nie jest jednostką zupełnie bierną) prędzej czy później zapragnie iść własnymi drogami, zapragnie samo wykuwać formy swego życia.

I smutnem byłoby, gdyby młoda jednostka przyjmowała tylko wszystko to, co jej rodzice i nauczyciele mówią, a nigdy nie zapragnęła do czegoś dojść sama. Zresztą wiemy dobrze, jak często w duszach młodej odzywa się pierwiastek pewnego buntu przeciwko narzucenym jej formom i obowiązkom. Nie dać temu buntowi ujścia w pożytecznej, twórczej pracy, a pozwolić mu na pozostanie w sferze negacji byłoby zbrodnią nie do darrowania.

To tłumienie pierwiastków samodzielności w duszy dziecka, brak starania się o zrozumienie i odczucie zachodzących tam przeżyć, oto jedna z przyczyn przepaści, która w tym wieku dziecka często pogłębia się znacznie. Podczas gdy przeciwnie poszanowanie indywidualności dziecka i jego własnych dążeń, zrozumienie doniosłości tych spraw, które jemu zdają się być ogromnymi i umiejętnie współdziałanie w ich pokierowaniu, to wszystko zacieśnia węzły przyjaźni między matką a dzieckiem.

Jeżeli więc to dążenie do wyjścia poza ramy świata, w którym kazano mu się obracać (dom i szkoła), przejawia się we wstąpieniu do harcerstwa, to rodzice tylko cieszyć się powinni. Przecież jest to wiek

PRYZRZECZENIE HARCERSKIE

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliżnim i być posłuszną prawu harcerskiemu.

PRAWO

1. Na słowie harcerki polegaj jak na Zawiszy.
2. Harcerka służy Ojczyźnie i dla niej spełnia sumiennie swoje obowiązki.
3. Harcerka jest pożyteczna i nieśie pomoc bliżnim.
4. Harcerka w każdym widzi bliźniego, a za siostrę uważa każdą inną harcerkę.
5. Harcerka postępuje po rycersku.
6. Harcerka miłuje przyrodę i stara się ją poznać.
7. Harcerka jest karna i posłuszna rodzicom i wszystkim swoim przełożonym.
8. Harcerka jest pogodna i wesoła.
9. Harcerka jest oszczędna i ofiarna.
10. Harcerka jest czysta w myśli, mowie i uczynkach, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych.

bardzo niebezpieczny dla dzieci, wiek, w którym tak łatwo ulegają wszelkim pokusom i tak często wchodzi na drogę, która zagraża ich zdrowiu moralnemu. To też, jak zaznaczyłam, sam fakt wstąpienia dziecka do harcerstwa powinni rodzice przyjąć radośnie, niepokoić się mogą tylko o jedno, czy ten nowy czynnik wychowawczy będzie stał na wysokości zadania. Na to rada jest łatwa, gdyż przy każdej drużynie istnieje Koło Przyjaciół, które w sprawach, dotyczących drużyny, ma głos decydujący.

To, że dzieci oddadzą się z początku harcerstwu z większym przejęciem niż obowiązkom domowym i szkolnym, to nie powinno nikogo zrażać ani dziwić. Przecież i każdy z nas robi chętniej to, czego się sam podjął, niż to, co mu kazano. Trzeba tylko trochę poczekać — harcerstwo, którego metody dążą do scharmonizowania tych trzech środowisk wychowawczych, samo pomoże domowi i szkole do nakłonienia dziecka na drogę chętnego pełnienia tamtych obowiązków. Dziecko tylko powinno czuć, że rodziców i nauczycielstwo obchodzi jego sprawy i że w swych po-

czynaniach harcerskich ma w nich przyjaciół. I wtedy zobaczymy, że nie tylko harcerstwo nie odciągnie młodzieży od szkoły, ale właśnie silniej z nią zwiąże, co stwierdził kiedyś jeden z dyrektorów warszawskich.

To, że dziecko do harcerstwa wstąpiło z własnej woli, normuje odrazu odpowiednio jego stosunek do ideologii harcerskiej. „Wstąpiłam do organizacji, a więc chcę poddać się jej prawom”. — A jest to wiek, w którym wydaje się, że nie ma nic zbyt trudnego. Jest to wiek marzeń o bohaterstwie, wielkich

niebezpieczeństwach i poświęceniach, wiek bezkompromisowości. I wtenczas dziecko bierze się ze sobą za bary, byle tylko stanąć na poziomie ideału prawa harcerskiego. My wprawdzie wiemy dobrze, że mu się to odrazu nie uda, ale stało się zadość najważniejszemu: dziecko chce pracować nad sobą. Widzimy, że sformułowanie prawa jest tu dużą pomocą. Nie mówi się dziecku tonem morału „powinnaś być taka a taka”, a daje mu się w formie kategorycznej „harcerka jest taka i taka”. I dziecku nie przychodzi do głowy pytanie, dlaczego ma tak postępować, jak się to często zdarza, gdy mama powie: „dziewczynka w twoim wieku powinna być grzeczna”, a biedne dziecko, które właśnie jest niegrzeczne, myśli z uporem, dlaczego ja właściwie mam być grzeczna? Tu dziecko zdaje sobie sprawę, że wiele mu brakuje, ale teraz będzie inna, bo chce być harcerką.

To też, choć naogół w metodach harcerskich ów czynnik wychowania jest raczej pozorny, tu przejawia się on z całą jaskrawością — dziecko zaczyna samo pracować nad sobą. Jak pomaga mu w tem harcerstwo, zobaczymy dalej.

W. Prażmowska



Prawda, utylitaryzm, brak odwagi cywilnej, „pierwiastek pałubiczny” i t. p. „historyjki”

I.

Zagadnienie prawdy ma dwie strony: obiektywną, czysto naukową i subiektywną, moralną.

Prawda obiektywna, zagadnienie teorii poznania, tyczy się stosunku naszego poznania do rzeczywistości, prawda subiektywna odnosi się do stosunku sądów, przez nas wypowiedzanych, do naszej własnej świadomości.

Są to więc przedmioty z gruntu różne i nawet język codzienny tę zasadniczą różnicę uwydatnia,

określając niezgodność pierwszego rodzaju jako błędy i pomyłki, drugiego rodzaju zaś jako fałsz i kłamstwo.

Walka Sokratesa z sofistami obracała się właśnie około tego, że ci ostatni chcieli t. zw. względność prawdy naukowej przyszczyć na grunt społeczny. Wpajali w młodzież ateńską przekonanie, że i w dziedzinie pojęć moralnych nie ma prawdy bezwzględnej, że prawdą jest tylko to, co się da — nemu człowiekowi w danej chwili prawdą wydaje. De-

cydującym momentem jest tu tylko jego własna potrzeba — pierwiastek czysto utylitarny.

Bez względu na to, jaki będzie nasz stosunek do prawd naukowych, czy przyznamy im bezwzględną pewność, czy też mniejsze lub większe prawdopodobieństwo, nie wolno nam pod żadnym pozorem tych wątpliwości przenosić na grunt społeczno-etyczny. Zresztą jeśli sądy matematyczne, którym wszyscy zgodnie przypisują pewność niezaprzeczoną, wywodzą to swoje „prestige” z naszych włas-

nych założeń i definicji, dlaczegożby w ten sam sposób nie miały sądy etyczne wywodzić się z religijnych przykazań, z „kategorycznych imperatywów“ z wszelkiego rodzaju zasad moralnych?!

Powiedzą mi może, że na założenia matematyczne wszyscy się zgadzają — a ja pozwolę sobie przytem zrobić pewne zastrzeżenie, że zgadzają się, o ile je rozumieją. A czyż inaczej ma się rzecz z założeniami moralnymi?

Tak samo, jak jest w naszej świadomości coś, co mówi nam, czy nasze rozumowanie jest trafne, czy błędne — jest w nas także coś, co dzieli nasze postępowanie na dobre i złe. Ten głos wewnętrzny nazywał Sokrates „daimonion“ — my dziś nazywamy go sumieniem.

Rozum i sumienie wymagają wykształcenia i tresury. Rozum i sumienie mogą także w nieodpowiednich warunkach ulec spaceniu.

Prawdopodobność jest niejako zewnętrznym łącznikiem między prawdą, a moralnością. Kłamca wykazuje nie tylko niski poziom kultury etycznej, ale i brak prawdziwego rozumu. Panoszące się kłamstwo jest zawsze niezawodnym wskaźnikiem upadającej moralności, ale także i zaniku zmysłu rzeczywistości.

Dziś więcej, niż kiedykolwiek panoszące się kłamstwo stało się „signum temporis“ nie tylko u nas, ale na całym świecie. Rozbudzone namiętności, wszelkiego rodzaju walki partyjne, nieprzebiegające w środkach, upadek etyki w życiu prywatnym i w życiu publicznym — tłumaczą te zjawiska aż nadto zrozumiale.

To też od czasu do czasu odzywają się głosy ludzi wybitnych, moralnie wysoko stojących, wzywające do walki z gangreną kłamstwa. Naturalnie — są to „głosy wołających na puszczy“, bo zarazą zbyt głęboko przeżarła życie społeczne, aby słowami można było zło naprawić. Walkę tę trzeba prowadzić systematycznie, od podstaw, czynem i przykładem.

Największym wrogiem prawdy, albo ściślej mówiąc prawdopodobno-

ści jest wszelkiego rodzaju utylitaryzm, od najszlachetniejszej jego formy altruistycznej począwszy, aż do formy najbardziej egoistycznej. „Szlachetne kłamstwo“, powodowane litością, miłością, względami wychowawczymi bywa nie tylko tolerowane, ale podnoszone nieraz do godności pięknych uczynków. Ale jakże trudne jest przeprowadzenie granicy!

Niebezpieczna zasada „cel uświęca środki“ prowadzi często do zgubnych rezultatów. Przemyca się niegodne cele zapomocą jeszcze mniej godnych środków. Zresztą sfery interesów egoistycznych i altruistycznych tak nawzajem się przenikają, że tylko w wypadkach bardzo typowych można je bezwzględnie od siebie odgraniczyć. Charakterystycznym przykładem są stosunki polityczno-partyjne — dziedzina życia, w której problem kłamstwa jest dziś chyba najbardziej aktualny. Moralność partyjna rozgrzesza z kłamstwa na rzecz interesów danego stronnictwa w imię „dobra publicznego“. Kłamiąc dla dobra jednej partji, a na szkodę partji innych, służy my interesom egoistycznym, czy altruistycznym? — Interpretacja dowolna, niebezpieczna, w każdym razie dla prawdziwego dobra publicznego bezsprzecznie szkodliwa.

Ile kłamstw, fałszów, oszczerstw, kalumnij, ile brudu moralnego sączy się codziennie w duszę nieśczęsnego narodu przez wiece, zgromadzenia, posiedzenia sejmów i sejmików, przez broszury, pseudonaukowe książki — a nadewszystko przez prasę, która kunszt ten doprowadziła do „wyżyn“ nieznanego dotąd „artyzmu“! I nie jest to tylko „sztuka dla sztuki“ ale

sztuka dla interesu, dla rozmaitych interesów i to nawet niekoniecznie „wyższych“. Bardzo wielu ludzi godzi się dziś u nas na takie metody, a nawet znajduje wzniosłe słowa rozgrzeszenia w imię rzekomej służby ideowej.

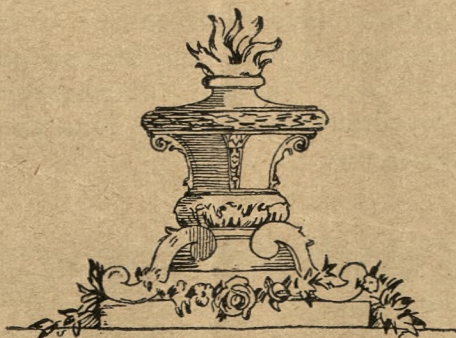
Nie wchodzę w ocenę wartości moralnej „ideałów“ które kłamstwem popierać trzeba, ale czy droga ta jest przynajmniej skuteczna? Czy przynosi ona faktyczną korzyść przynajmniej tym, którzy tą metodą się posługują?

Przysłowie „każdy ginie od broni, którą sam wojuje“ nigdzie się tak nie sprawdza, jak właśnie na tych, którzy wojują kłamstwem. Demoralizujący wpływ atmosfery i pobłażania i bezkarności, moralnego rozgrzeszania metod fałszu w skutkach swoich najwięcej szkodzi tym, którzy atmosferę taką wytwarzają.

Zdarzające się co jakiś czas „secesje“ polityczne są tego wymownym dowodem. Przechodząc do obozu przeciwnego stronnictwa, stowarzyszenia, dziennika, stosują „renegaci“ przeciw swoim wczorajszym przyjaciółom politycznym te sposoby walki, których właśnie od nich się nauczyli.

Taki proceder bywa nieraz powtarzany tam i z powrotem kilkakrotnie bez przeszkód. Nikt z tego kwestji nie robi. Amnestja moralna należy do rzeczy najłatwiejszych. Byleby „interes“ t. zw. wielka polityczna szła! Chwilami ma się wrażenie, że jest to jakaś pusta i fatalna zarazem zabawa „dorośłych dzieci“, z której żadna strona nie wynosi w końcu korzyści, a cały naród największe szkody.

Zagadnienie prawdy i t. zw. „koniecznego kłamstwa“ w wychowaniu dzieci należy do kwestyj trudnych. Kiedy mówić bezwzględnie prawdę, kiedy przemilczeć, obejść, wręcz kłamać — oto pytania, z którymi się często wychowawca borykać musi. Rozstrzygnięcie trudne, bo w grę wchodzi często wybór między szkodą dziecku, mogącą wynikać z przedwczesnego poznania, a niebezpieczeństwem zachwiania w niem



wiary w prawdomówność, utraty jego zaufania. Albo też może tu grozić niebezpieczeństwo przeciwne: wyrobienie w dzieciach przekonania, że prawda jest rzeczą dowolną, zależną od naszych potrzeb i naszego uznania.

Jedno jest pewne, że naczelną

zasadą wychowania powinno być przestrzeganie prawdomówności, że naruszenie tej zasady tylko wtedy jest dozwolone, gdy powód jest dostatecznie ważny, aby dziecko mogło kiedyś łatwo i bez szkody moralnej zrozumieć rację tego odstępstwa.

Można to zresztą uogólnić: t. zw. „szlachetne kłamstwo“ jest wogóle dopuszczalne tylko w takich wypadkach, gdy motywy jego są nie tylko absolutnie bezinteresowne, ale dostatecznie wielkie i uzasadnione.

(c. d. n.).

K. S.

Odpowiedź na artykuł p. Zawiszanki p. t. „Djagnoza“



Możemy być dumni my, kobiety, że oto właśnie nie kto inny, tylko kobieta, poruszyła tak ważne, tak naczelne zagadnienie, jak to, które zo-

stało sformułowane w [artykule p. Zawiszanki.

Mimo przemęczenia, mimo owych nieznośnych, codziennych, szarych trosk powojennych, które tamują wzlot skrzydeł, musimy, musimy koniecznie zastanowić się nad owym zagadnieniem i postarać się jak najprędzej je rozwiązać, gdyż jest to sprawa istotnie paląca.

Otóż po przeczytaniu artykułu p. Zawiszanki zaczęłam zagłębiać się w całokształt naszego dzisiejszego życia duchowego i przyszedłam do przekonania, że główną niemocą naszą jest to, iż nie umiemy jeszcze wżyć się i wczuć w sytuację wolnego narodu. Myślimy i czujemy dotychczas kategoriami albo spiskowców albo niewolników. Nie umiemy cieszyć się naszą wolnością, nie umiemy wcielić się w naszą państwowość; najzupełniej, ale to najzupełniej (mówię to o szerokim ogóle) nie wżyliśmy się tak po pro-

stu, bez żadnego patosu w słowa wieszczą: Ja i ojczyzna — to jedno“. Bo tych słów nie powinno się wypowiadać „od święta narodowego“, ale przeciwnie winny się one stać chlebem powszednim, winny być powtarzane na codzień, rano i wieczorem. A tymczasem większość naszego społeczeństwa w codziennych stosunkach życiowych zwykła się przeciwstawiać własnemu państwu lub narodowi tak, jak gdyby nie była kością z kości jego, jak gdyby mogła się wyodrębnić z tego kompleksu stosunków, które stanowią życie narodu — państwa.

Otóż, mojem zdaniem, najgłówniejszym celem naszym obecnie winno być wychowanie samych siebie, a przede wszystkim wychowanie młodzieży naszej na ludzi wolnych — na wolnych obywateli. — Chodzi mi bardzo o to, by nie być fałszywie zrozumianą; częstokroć bowiem słyszało się dawniej jeszcze, za czasów niewoli, a i teraz również „o ludziach wolnych“ to znaczy o takich, którzy nie chcą się podporządkować żadnym obowiązkom, i wyodrębniają siebie z łona społeczeństwa.

Temu pojęciu można przeciwstawić pojęcie „wolnego obywatela“. Cóż to jest wolny obywatel?

Wolny obywatel nie odróżnia ojczyzny od ojcowizny — obie są mu jednako bliskie i własne.

Wolny obywatel cierpi nad błędami, które spostrzega w narodzie tak, jak gdyby je sam popełnił.

Wolny obywatel płaci podatki i wypełnia wszelkie powinności państwowe, jak się wypełnia wszelkie obowiązki domowe i rodzinne bez przymusu z zadowoleniem.

Wolny obywatel niezdolny jest do krańcowego pesymizmu w stosunku do ojczyzny, tak samo jak nie umiemy być pesymistami w stosunku do swoich ukochanych i najbliższych.

Wolny obywatel nie potrafi sobie wyobrazić nawet, jak mogły żyć bez niepodległej ojczyzny — i dlatego właśnie jego ojczyzna nigdy nie utraci niepodległości.

Na takich właśnie wolnych obywateli musimy wychować swój naród.

To jest zadanie najpilniejsze.

M. Łopuszańska



ZOFJA ROŚCISZEWSKA

SZKICE OWOCOWE

I

*Słońce — niedojrzała morela
Poza pniami drzew znika,
Przed oknem rośnie osika —
Wszystko razem: dobra akwarela.*

*Słońce — niedojrzałe morele
Bóg do jutra schowa do koszyka,
Zaraz zgaśnie... już blednie, już znika
Reszta nieba w mgły siwym popiele...*

*Wszystko razem: dobra akwarela.
Godne mistrza — barwy na palecie,
Świat się bardzo podoba poecie,
Chociaż znikła za liśćmi morela.*

II

*Księżyc w pełni — plasterek cytryny
W żółtej skórki jasnym obramieniu —
Księżyc z ziemią łączą w nocy cieniu
Smugi światła — jak okrętu liny.*

*Cytrynowy plasterek księżyc
Na bok głowę chyli, jak artysta
Z ciszy nocy kwietniowej korzysta
I miłośnie patrzy ziemi w lica.*

III

*Białe porzeczki zerwane z krzaka,
Jasno-różowe porzeczki gronami,
Na niebie, gdzie dwanaście znaków jest Zodzaka,
Dziś nazywają się gwiazdami.*

*Małe, okrągłe, srebrno-żółtawe owoce,
Rozsypane w szafirze czyjąś ręką szczodłą,
Girlandami mrugają w zimową noc modrą,
Słodyczką napelniają ciepłe, letnie noce.*



N I C



Jakże lubię rozmawiać z tobą, piękny, słwy ponie, — rozmawiać w sposób nie-
miernie lekkomyślny o rzeczach ważnych
i poważnych, — zawracać w miejscu
z tematu na temat, chwytając w lot
twoje spojrzenia, nito napastliwe, nito
zalone.

Jest w nich nie tylko rutyna słynnego
uwodziciela — jest jeszcze młodzieńczość
wiele, podszytej niesłychaną pewnością sie-
bie. Jeno nieprzebrane jakieś pokłady smut-
ku tają się na dnie twoich oczu... Nie ty-
kajmy ich lepiej, nie tykajmy!

Nęci mnie w tobie może właśnie to, że,
sam wchodząc już w późne popołudnie,
patrzysz z korzystnej perspektywy na mój
zenit i uśmiechasz się doń pobłażliwie.
Uśmiechałbyś się może tak samo, gdybyś
wiedział, jak oną, rozkwitłą do cna różę,
robak toczy?

Nęci mnie właśnie to, że nie zdziwił byś
się tem wcale, że znasz życie zbyt dobrze,
by gorszyć się moją nagłą pustotą. To czy-

ni cię doskonałym partnerem w zagłuszają-
cej zabawie.

Bo wszak ani krzywdy mi wyrządzić nie
możesz, ani żadnej doznać ode mnie... Nie
zawiodę napewno twej ufności, bo jej nigdy
we mnie nie pokładałeś. Dobrze nawet, że
ciebie wogóle nic nie obchodzi!

Wystarczy mi, że moja tragedia byłaby
dla ciebie tylko jedną z wielu widzianych
szarpanin ludzkich — gdybyś ją poznać
mógł kiedykolwiek. — Twój chłodny scepty-
cyzm spojrzałby może na moje ata-
ki wewnętrznego śmiechu, jak na znany
szczebel drabiny, dawno przebytej?

Pociągą mnie twoja młoda starość i sta-
ra młodość, wytworny wdzięk ruchów, sub-
telna mądrość, życzliwa obojętność, zuchwa-
łość spojrzeń i powiedzeń — zupełna
pewność swej przewagi nad kobietami.
Ależ dobrze, dobrze — nie przeczę jej by-
najmniej!

Pociągą mnie i to, że, tak samo jak ja,
nie wiesz prawdopodobnie, dlaczego właści-
wie działasz, starasz się o tysiące rzeczy —

co ci każe być, mimo wszystko, wybitnym
mężem politycznym?

Mamy chyba wiele wspólnego, wykwinny
panie, chociaż tyle lat nas różni... Dlatego
to tak dobrze nam idzie zabawa. Dlatego
również, że nie bawisz się ty mną, ani ja
tobą, lecz bawimy się sobą nawzajem rów-
noprawnie.

I cóż, że ty to czynisz zapewne dla
sportu i z przyzwyczajenia, a ja — dla
chwilowego zagłuszenia bólu? Cel jest chy-
ba dla obojga osiągnięty...

Tańczymy menueta na jakiejś doskona-
łej posadzce, według świetnie wyczonego
„pas” — choć nikt nikogo do tańca nie za-
praszał, a muzyka w nas somych jeno de-
likatnie dźwięczy... Połotnym ruchem wno-
sząc z lekka suknię, składam ci oto ukłon
głęboki, żartobliwie ironiczny, w którym
zawiera się podziękowanie, że tak świet-
nym jesteś tancerzem.

Ukłon ten może równie dobrze zakoń-
czyć już naszego menueta, jak otworzyć
nową jego figurę.

E. H.

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

9. NIECH ŚPI SPOKOJNIE OPA-
SŁY PRUSAK, KTÓRY OJ-
CZYZNĘ MOJĄ ZNAŁ I NIE-
NAWIDZIŁ, A DLA NIEJ ZGI-
NAŁ, Z RĘKĄ NA PUSZCE
MARMELADY.

— „Ja, liebes, süßes Lies-
chen, bald wird Ende. Alles
umsonst, der ganze Krieg
umsonst, denn ich bin ge-
sund und, denke immer
an Dich, mein Schatz, und
guten Magen habe ich
auch, obwohl dass ein ver-
fluchtes Land, dieses Po-
lenland... Danke, mein Herz,
für die allerschmackhaftste
Marmeladenbüchse“...

— „Tak droga, słodka Lieschen!
wnet będzie koniec. Wszystko
i tak na nic, cała wojna na nic,
bo ja jestem zdrow i myślę o To-
bie. Żołądek mam też w porządku,
choć to przeklęty kraj ten polski
óraj. Dziękuję Ci, serce, za naj-
smaczniejszą puszkę marmelady“...

Sądził opasły Fritz, że wojna to
tylko brzydkie sprzysiężenie prze-
ciw niemu, przeciw jego bicepsom,
jego żołądkowi i jego miłości do
Lieschen.

Nie wytłumaczy mu nikt, że
wojna miała inny sens.

Wedle jego mniemania, zagad-
nienia wojny nie mogły sięgać
poza jego osobę, poza jego bi-
cepsy, jego żołądek i poza miłość
do Lieschen.

Przecież to jedno tylko bliskie
i realne może mu wojna odebrać...
Vaterland...!?

No właśnie.

Vaterland to on, Fritz, to
jego bicepsy, jego żołądek, jego
Lieschen i także, ewentualnie, jego
nienawiść do przeklętego kraju
polskiego, w którym mu każą
kopać szanice.

Vaterland to także — niema
dwóch zdań — puszka marmelady,
ta od Lieschen i ta gorsza z me-
naży. Takie identyfikowanie przy-
czyn, skutków, wypadków, zjawisk,
z własną osobą, wytwarza najlep-

szego może żołnierza, coprawda
na krótką metę.

I właśnie dlatego, że Vater-
land to on, Fritz, jego bicepsy,
jego żołądek i jego Lieschen —
wyrnęła weń kula karabinowa,
toczona i ulana przez innego
Fritza, cichutka i gładka, w biały
dzień, w ślicznym, jasnym słońcu
pogodnym, na zielonym aksamicie
murawy, aby rudą głowę położył
nie wiedząc, za swoją Ojczyznę.

10. NIECHAJ ŚPI SPOKOJNIE
KAŁMUK, O NOSIE PODOB-
NYM DO TRATWY, KTÓRY
SZEDŁ Z GŁĘBI AZJI DOM
MÓJ PŁONDROWAĆ, A ZUL-
NAŁ DLA MOJEJ OJCZYZNY.

— Da izwinit wasze bła-
horodje... jej Bohul ja tolko
posmotriel! Dziobata twarz
sółdata stała się jeszcze bardziej
płaska. Nos, rozsmarowany na
całą prawie szerokość tej twarzy

skurczył się w bolesnym uśmiechu, zęby lyskały w sinych wargach, a ręce wypuszczały bezświadomie w strachu okrutnym, porabowane lichtarze, sztucce, figurki i zegarki. Na guziku wisiał damski, fałszywy kok z szyldkretowym grzebieniem i budzik, zaś po szynelu spływała brunatna zawartość jakiejś kryształowej szklanki.

Pachniało silnie miętą.

Daleko i jakby w zaświatach śpiewał wysoki, tkliwy tenor:

Sławno je morje, świaszczonnyj Bajkał...

Księżyc zalewał wszystko i ów głos i te obrazy swoim blaskiem łagodnym, zieleńszym od szmaragdów, różowszym od kwiecia jabłoni — przejrzystym, subtelnym, rozkosznym, prawie, aż pomadkowym w słodczy i kolorze.

Nic nie mogło się wydawać groźnem w takim anielskim, najśłodszym oświeceniu. Wszystko było poezją, uśmiechem, żartem, zalotnością, zabawą. Toteż uśmiechały się skośne oczy Kałmuka i nos się uśmiechał, rozsmarowany na całą szerokość jego płaskiej twarzy, a oficer, stojący przed nim z czarną lufą rewolweru, skierowaną wprost między oczy żartował niezawodnie, choć powtarzał w kółko przez zęby:

— K'czortu, mordo azjatycka... Ja tiebia sukinsyn, mordo azjatycka...

Palec wskazujący leciutko się zgiął na cynglu. Rozległ się trzask suchy i miły, jakby się ułamała wiosenna gałąź bzu, jakby klasnął język rozsmarowany o podniebienie, jakby strzelił bat na dożynkach — coś mogło się dziać innego w tem anielskim eterycznym oświeceniu, jeśli nie śmiech jeno i żart—?

Ze ktoś zacharczał?

Ty!?

Chyba imaginacja!

Może być zresztą. No to śpij spokojnie, Azjato, któryś przyszedł z głębi tungrow dom mój plondrować, a zginąłeś dla mojej Ojczyzny.

11. NIECHAJ SPI SPOKOJNIE
PIEGOWATA DZIEWCZYNA,
POWIESZONA BEZ SĄDU
WE FLANDRII, W DZIEŃ BIAŁY
I DŹDŻYSTY, ZA NIEWIADOMO
JAKĄ ZDRADE. MOJEJ
OJCZYZNY NIE ZDRA-
DZIŁA.

Panna Godeliwa Nys nie była przerażona.

Oczywiście.

Raczej zdziwiona.

Tak szybko się to stało. Poszwargotały wokół niej pikelhauby, popływały, pogroziły komicznie:

— Sze fu komant te tu tirrr... na co milczała i ot teraz prowadzi ją czterech z najeżonymi bagnetami.

Trochę tylko deranżowało pannę Godeliwę Nys, że ręce miała związane na plecach postronkiem — o! bardzo delikatnie zresztą!!! — ale muchy wciąż siadały uprzykrzone na jej ni ładną, ni brzydką buzię, jakby brały jej piegi za krople miodu.

Braciszek najmłodszy tyle razy wodził lepkim paluszkami po tych jej piegach — i pytał:

— Dis, zècoutes... quit'a barbouillé le visage avec du miel?

Roześmiała się mimowoli panna Godeliwa Nys na to wspomnienie, burknęły coś pikelhauby. Wspomnienia przyszły inne, równie zabawne. Naprzykład ta piosenka, śpiewana bezustannie na początku wojny po całej Belgii:

...Il devait faire prisonnier
dans Bruxelles même Albert premier
et voila que son fils
n'a pris que l'Mannekenpiss!
Chantons la Kaisericle....

Teraz ją uwięzili, nie króla, i do każdej wiódą?

Deszcz mży chwilami, droga biegnie pusta, zamarła, bez drzewa, bez domu, bez człowieka, — dopiero tam daleko, w mgłę, malutka kolumienka — kapliczka wybujała niespodzianie, ciągnie oko ku sobie.

Panna Godeliwa Nys wie, że w tej kapliczce siedzi na słupku z farbowanego drzewa, od czterystu lat, święty Bawon pustelnik, w płaszczu książęcym, patron od nagłej i niespodziewanej śmierci i patron zresztą całej Flandrii.

Wie, że tam dwa razy do roku wieszają na długich hakach wieńce z chabrów i rumianków, które się potem nabożnie zdejmują i niesie procesjonalnie w dom, jak relikwie.

Czasem przykładną ręką zaświeca tam za pozłacaną kratą lampkę rubinową, która zawsze czeka na knocik, na oliwę i na wśród nabożnych westchnień wyszeptaną intencję.

Zbliżyli się do kapliczki i ot właśnie mogła panna Godeliwa Nys zauważyć, że lampka rubinowa się świeci.

Był tu ktoś niewątpliwie, modlił się tu ktoś, ktoś z jej miasteczka, może z jej rodziny... Ta myśl wzruszyła ją, nagle razem ze wzruszeniem przyszedł lęk, zdradliwy cień padł na jej serce, lecz niema obawy, aby się panna Godeliwa Nys w razie danym zachowała nieodpowiednio do okoliczności. Panna Godeliwa była zawsze correct, zawsze na miejscu.

— ...chantons la Kaisericle... prześladuje ją kuplet Botrela. Pikelhauby zatrzymują się — szwargoczą — rozwiązują jej ręce i ów postronek z rąk zdjęty, zakładają prawie że uprzajmie na jej szyję.

Dziwne.

Przecież nie będą jej chyba wieszali bez sądu i w dodatku na poświęcanych ścianach? bez spowiedzi?

Choć — kto wie?

Wciąż szwargoczą, lecz panna Godeliwa Nys mówi pacierz, więc nie słyszy. Słyszy w sobie wzmagający się lęk i równocześnie nakazy jakieś, że tak powiem plemienne, jakieś wzory nieodchylane: kto i jak ginął za jej Ojczyznę... miss Cavell — pan Filip Baucq — Gabrijela Petit. Powtarza sobie cicho, że miss Cavell przypięła do stanika malutką chorągiewkę angielską, aby w tę chorągiewkę celowali zbrodniarze — Pan Filip Baucq nie dał sobie oczu zawiązać niemieckiemu oficerowi przy egzekucji:

— Niczego od tych świń nie chcę! — rzekł z furją.

Powtarza to sobie cicho, w kółko. Tymczasem przyciskają ją lekko do ścianki kaplicznej, delikatnie podnoszą ku wyrastającemu z przymurka hakowi, zarzucają jeden koniec pętli na ów hak i puszczają wolno pannę Godeliwę Nys.

Widocznie człowiek musi się zawsze nadziwić odzyskanej wolności, bo panna Godeliwa Nys długą chwilę kołysze bezradnie rękami, jakby strzepywała z twarzy piegi. Piegi te stają się szare, a potem granatowe, a potem nic już do kropel miodu niepodobne.

Nieruchomieje panna Godeliwa Nys.

Nie będzie już pytał najmłodszy braciszek:

— ...qui t'a barbouillé le visage avec du miel?...

Tylko gwałtownie, impetycznie szeleści pod jej plecami zeschły wieniec i gwałtownie migocze lampka rubinowa za pozłacaną kratą, przed świętym Bawonem, patronem od nagłej i niespodziewanej śmierci.

— Zdradziłaś Szwabów, córko? szepcze może płomień lampki tajemniczo, w języku tylko pannie Godeliwie wiadomym. Jeżeli tak, jeśliś ich zdradziła, śpij dumnie, śpij słodko na haku, na którym bracia twoi wieszają wieńce z chabrów i rumianków od czterystu lat, aby je potem procesjonalnie wnosić do domów, jak relikwie. Wrócisz ty do nich także, córko, relikwią...

Śpij — za niewiadomo jaką zdradę ukarana śmiercią. Mojej Ojczyzny nie zradziłaś.

I V O A N D R I Ć

WĘDRÓWKI ALIJI DŻERDŻELESA

(tłum. z Serbo-chorwackiego M. Zn. Szczepańska)



niew go rozsadał. Nie móc cię dosięgnąć, włoszko, nie móc nigdy! I nie móc zabić nikogo, ani nic roztrzaskać! (Nowy wał krwi buchnął mu do głowy).

A może to nie prawda? Może znów robią z niego osła? Cóż to znów za żarty? I cóż to za kobiety, do których dosięgnąć nie można, jak do Boga? A jednocześnie czuł wyraźnie, że to są wszystko zbyt cienkie nici na jego palce i że — który to raz już w życiu! — nie może w żaden sposób zrozumieć ludzi ani ich najzwyklejszych postępów. Trzeba już chyba wyrzec się wszystkiego i usunąć z drogi i zostać samemu ze swym śmiesznym gniewem i zbyt dużą siłą...

Szedł ogłuszony i przybity. Ani jednej myśli w głowie, tylko jakieś chmury czerwone podnoszą się i rozplývają jedne za drugimi. Nie oglądał się wcale, zostawiając za sobą białą, milczącą dom i mroczną, niską cukiernię...

W koszarach ćwiczyli się trębacz. Monotonna melodia marsza wojskowego powtarzała się i powtarzała. Słońce świeciło mocno. Dżerdżeles nagle uczył ściskanie w gardle a potem poczuł ból szyi. Poszedł wzdłuż rzeki, obrzeżonej rokiciną i zieloną wierzba ze śladami zeszłorocznych jeszcze wylewów. Jak to dobrze, że można iść z biegiem Uiljaczk tak równo i tak daleko! Żeby ta droga mogła się nigdy nie skończyć! Żeby to nigdzie skręcać nie było trzeba!

Zatrzymał się dopiero na Chisetach i z wyraźnym już zamiarem skierował się w stronę Dolnych Tabaków. Wszedł do jednego dworku z wysoką bramą. Jęczały i skrzypiały pod nim wąskie schodki, wyszczerbione od częstych odwiedzin! W małym, pięknym po-

koju, w przyćmionym świetle storz białego muslinu, siedziała Jekaterina, kobieta o spokojnym wejrzniu i białych rękach. Zupełnie, jakby czekała...

Ta Jekaterina była to córka pewnego lekarza, który przyszedł tu kiedyś z Odessy. Mówiono, że jest Gruzin, ale w rzeczywistości był Rosjaninem i nigdy nikt się nie dowiedział, dlaczego musiał uciekać. Nosił fez i nazywano go Velibegiem, ale przed śmiercią zawołał popa do siebie i umarł, jako chrześcijanin. Jego córka osierocona, samotna, chciała z początku iść do jakiego klasztoru kobiecego w Rosji, ale zatrzymał ją pewien Grek, kawas¹⁾, a gdy ten ją porzucił, przeniosła się do jednego z tych małych domków, stojących rzędem od Chistetu do Dolnych Tabaków, w których, pod nadzorem państwowym, po jednej lub po dwie w każdym domku, mieszkają przedajne, całemu miastu z imienia znane, dziewczęta. Za ostatek pieniędzy ojcowskich kupiła ten domek i żyła w nim ze starą służącą: niegdyś również chisetską dziewczyną. W dzień spała lub wyszywała poduszki w cieniu swego podwórza, a w nocy przyjmowała bogatszych gości. Była niewysoka, tęga i milcząca. Dżerdżeles znał ją z dawnych nocy. Jekaterina zdziwiła się też niemało, że ją w dzień odwiedza; wstała, a on rzekł spokojnie z góry:

— Jekaterino, przyszedłem do ciebie.

— Proszę, proszę, witam! — mówiła, układając dlań pokornie poduszki.

Usiadł na taburecie, a ona stała trochę schylona. I zaraz zaczęła go rozdziewać. Potem leżał, z głową opartą na jej łonie, a ona gładziła jego szyję, opaloną od słońca. Przytulił twarz do cienkiej

tkaniny jej sukni i przed oczami krążyć mu zaczęły jasne i czerwone pląty krwi nienasyconej i niezliczone wspomnienia ukójne da lekie.

Ta ręka, którą czuje na sobie, jest ręką kobiety? Wenecjanka, w futrach i aksamicie, o której kształtach smukłych i szlachetnych nie wolno mu nawet pomyśleć; cyganka, Zemka, bystre i przewrotne a miłe zwierzątko... dorodna wdowa... namiętna i zdeprawowana żydówka... I Katinka, owoc, dojrzewający wśród cienia... Nie, to jest ręka Jekateriny! Tylko Jekateriny! Do Jekateriny idzie się gładko...

I raz jeszcze zjawiła się w nim myśl, z którą zasypiał był sto razy, myśl niejasna, nigdy do końca nie doprowadzona, a krzywdząca i bolesna tak niewypowiedzianie! Dlaczego droga do kobiety tak jest mylna i tajemnicza i dlaczego on ze swą sławą i siłą przejść jej nie może, a przebiegają ją inni, gorsi od niego? Wszyscy! Tylko on, w silnem i śmiesznym pożądaniu całe życie wyciąga ręce, jak we śnie... Czego kobietom potrzeba?

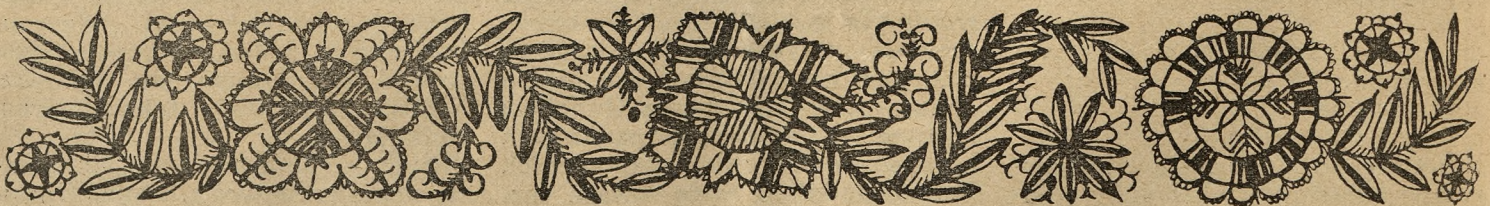
Mała ręka gładzi go nie przestaje po karku, kunsztownie, ze znajomością rzeczy... I znów myśl w nim gaśnie i opada, ciężka, nierozstrzygnięta. Leżąc bez ruchu, mówi nawpół przytomnie:

— Ilem ja świata widział, Jekaterino, ilem ja obszedł świata!

Nie wiedział już sam, czy mówi to, by się poskarżyć, czy, by się pochwalić i — urwał. Czuł się spokojny w tej sernej ciszy, w której zlewają się i cichną dnie i wypadki. Siłą zamknął oczy. Chciał przedłużyć ten czas bez myśli i pragnień, odpocząć jak najlepiej, jak człowiek, dla którego dzień jest krótkim tylko odetchnieniem, jak człowiek który musi iść w dalszą drogę.

Koniec

1) Służący.



Od liryki do epiki, od weltszmercu do dogmatu

Opowieść o tem

„Jak zakwitła we włosach anioła gałązka uśpionego wawrzynu”

[J. K. Illakowicz — „Śpiący Stróż”]



wiecznie ruchliwej pustce świata, jak w rozhuśtanym dzwonię, rwie się, targa i krwawi młode, prawie dziecinne jeszcze serce. Czyż może być większa krzywda,

jak usta dziecka zamknąć pieczęcią niezrozumienia? „A kiedy dziecko śniło, mówiliście: „kłamie“, „...wracało serce do domu, skrwawione i skłute, do Was! Z Was każdy w serce spojrzał po kolei i wyrzekł sąd nade mną: — Tu nie ma nadziei! Trąd na sercu!” (Dumanie korsarza — Illakowicz).

Tych kilka wierszy odkrywa nam odrazu rąbek tajemników psychicznych poetki, prowadzi nas do pierwszego źródła jej liryzmu, — do rozłamów z otoczeniem i odtąd musimy już iść konsekwentnie od ogniwa do ogniwa po łańcuchu determinizmu. Niezrozumienie duszy młodzieńczej rodzi świadomość krzywdy, tem boleśniej, ze niezaspokojonej, tem dotkliwszej, że łączy się z niem pocucie bezsilności: „duszy biel rozdeptana, jak bezbronny, przeczysty śnieg”. — „Nie było, o lwie mój, ucieczki, nie było, nie było rady.”

A skoro to, co najczystsze i najbielsze, zdeptane być musi, skoro nie ma ucieczki od zła i rady na krzywdę, zatem jest jakaś siła fatalna, co wszystkim rządzi, jakaś klątwa, ciążyąca na tych, którzy pod strychulec pospolitości podciągnąć się nie mogą.

„Mam na czole czarną plamę od młodu.”

A klątwa ta tem s'raszniejsza, że sam Bóg ją sankcjonuje, aniołowie i święci dokonali strasznego obrządku.

„Potępiona jestem i przeklęta i z pod prawa wszelkiego wyjęta. Czarną hańbę w niepowrotnem słowie ułożyli biali aniołowie i wyrzili ją świętem żelazem na mem czole za Bożym rozkazem, a na sercu dla lepszej pamięci wypalały ją Święci. Tylko jedna Matka Boska biała w swej różanej altanie płakała, nawet ręką dotknąć się nie chciała.” (Córka czarownicy).

Krzywdą jednorazową staje się absolutnem, nieodwołalnem wydziedziczeniem, odsunięciem bezzwrotnem od Łaski i Zbawienia. „Kościelny Chrystus ze spiżu za mnie nie skonał na Krzyżu”, a jeżeli tak, jeżeli się jest rzuconym przez los na drogę, z której niema powrotu, to lepiej iść po linii najmniejszego oporu, bo i tak ze złem nikt nie walczy. Bóg i ludzie patrzą spokojnie, jak „stary diabeł dla swej djablicy do torby zbiera skowronki.” Nikt nie ujmie się za śpiewakami świtu, bezsilną skargą jest rzucone w pustkę zapytanie poetki: „długoż będziemy w nocnej ciemnicy słyszeli diabła, jak dla djablicy wykrada słoneczność ziemi”.

O ten motor zła, o to fatalne perpetuum mobile, o ten młyn szatański, w którym serca się miele na zaczyn zgnilizny, zazębia się koło demonizmu, koło tortur, w które wpleciona dusza poetki oddaje się z perwersyjną uciechą wszystkim rozkoszom samoudręczenia.

Miłość dłonią Baudelaire'a podaje jej czarę: „J'offre ma coupe vide ou souffre un monstre d'or”. — „Sam czart zgotował słodkiej cykuty, a ja z płomiennych twoich warg wychylałam kielich zatruty.” (Zatrute kwiaty).

Byroniczny korsarz demaskuje się prędko: „hańbę mam na fladze,” rozwija „czarne żagle” i mknie nie na pół gwiazd, nie na zdobycie światów nowych, ale na posiew nieszczęścia. Zemsta, zemsta za krzywdę, za „serce skrwawione i skłute.”

„Gdzie ja pieśnią wkroczę, zasiane mają ręką wstana „zęby smocze.” Słyszymy znajome echa Masyrisy i Wajdeloty. (Dumanie korsarza).

Bunt, zemsta, nienawiść, przekleństwo, opętanie, z męki nigdy nienasyco ego pragnienia, „w najgłębszem piekle, to w najwyższem niebie,” „będziemy jak potępieni do siebie tęsknili, na jednym stosie do krzyżów przybici, wiecznie pragnący i nigdy nie syci”. Nieco dziecinna dekoracja, na pół balladowo-romantyczna, na pół mistyczna. „Sześć i oskrzydłe Cheruby z witraży z ognistymi

w prawicach mieczami”, w ciemnych żrenicach mordercze noże”, „śmiertelna matnia”, „smukłe ręce o śniadym połysku żmii”, „jedwabny sznur”, którym kochanek owija i dusi szyję kochanki, pugnał, sztylet, zatruta strzała, „zdeptany wianek czerwonych róż”, gałązka białych róż”, — wszystkie jednym słowem naiwne, a nieśmiertelne akcesoria miłości i śmierci zostały pущzone w obieg hojną ręką, szafującą obficie i bez wyboru zarówno szlachetną walutą głębszego przeżycia artystycznego, jak i wytartymi liczmanami konwencjonalnej retoryki.

Jakiż jest wynik owej żeglugi korsarskiej po odmętach buntu i rozpacz?

Stracona nadzieja, że „szczęście czeka za bramą”, rozwiana złuda w celowość wysiłków bluźnierczych, złamana wiara w potęgę własną, ugruntowana pewność co do postawy Boga wobec bezsilności ludzkiej. „Za tą chmurą są najwyższe szczyty, które za zdrosny Bóg ode mnie skrwawia, już się nie lęka mnie, tylko się śmieje”!

Mściwe bóstwo, piętnujące córkę czarownicy, triumfuje, nie jak olbrzym, deptający pigmeja, ale jak złośliwy karzeł, urągający powalonnemu tytanowi. Dysproporcja tych dwóch wrogich sobie potęg tem bardziej uderzająca, że zarówno mściwy korsarz, jak wykłeta córka czarownicy nie zdradzili ani jednym słówkiem j-kichś tęsknot prometejskich, porywów konradowych, czy anhelicznego ducha ofiary w imię wyższych nakazów. „Nie chcę nic słyszeć o gwiazdach! Jam jest gwiazda stracona”. Taki bunt bez duchowego gruntu pod nogami, taki skok w ni ość bez odskoczni musi się skończyć wyczerpaniem woli, spleenem, bezprzedmiotową zabójczą tęsknotą. Nawet zestawienie z Lucyferem nie daje dumnej pociechy. „On kona wiecznie w ogniu, a ja jedną chwilę, ledwie widoczną gasnę w ziemskim pyłe; on milionami potępionych serc potrzasa każdym sercem swego drżeniem, ... on walczy i przeciw nadziei zawsze ma zemsty nadzieję, choć w pę-

tach ma skrzydła! Mnie—bez skrzydła — czarna ziemia wiąże, ...stygne, ginę, gasnę i nikogo z sobą nie pogrążę."

Na dnie krwawego puharu zemsty czerni się gorzki osad znużenia. „Coraz bardziej jest mi wszystko jedno“. Zmęczenie, śmiertelne znużenie mózgu, nerwów, mięśni. Takby się chciało, żeby ktoś dobry i silny wziął na ręce, jak dziecko, i tem objęciem odgrodził od wszystkiego, co boli, od wszystkiego, co tak bardzo obmierzło. „Weź mnie na ręce“. A potem i to nawet drażni. „Odejdź ode mnie i nie męcz mnie dłużej."

Wśród zatrutych kwiatów lęgnię się pragnienie śmierci i jak wąż podnosi syczącą głowę. (Powitanie w zbiorze „Trzy Struny“, „Kochankowie szukają ucieczki w śmierci.“ To już nie retoryka, to jedyne, konsekwentne rozwiązanie wszelkiego za co? i dlaczego? na które jednak nie może zdobyć się dusza zboleła, bo już jej wszystko jedno, a przytem tam na dnie tli się jeszcze próchno spopielałych złudzeń, z których tak łatwo rozdmuchać wąły płomyk nadziei. Ale i ta ma twarz kuszącą i okrutną rzeczy niedościgłych: „jest taki błękit, ale ja go nie widzę, nie czuję, jest taka gwiazda, ale ona w nieznanym orbicie kołuje, jest taki płomień, ale pali się raz jeden, na stypie, jest takie szczęście, ale je oddech własny na świata cztery strony rozsypie.“ A zatem jest błękit, jest gwiazda, jest szczęście, tylko nie każdy umie je wziąć. Te skarby zakopane, które się żądzą palą po nocy, te zatopione dzwony wielkich uczuć, te światy nieznanne nie do zdobycia, oto źródło weltszmercu, tego „ból istnienia“, który trawi duszę poetki.

Zobaczmy później, jak to źródło pogłębi się o całą otchłań mistycyzmu i przeświecili się nawskroś promieniem żarliwej wiary.

Jest jedno zjawisko, które uderza w liryzmie Młakowiczówny: brak wyrazu uczuć kolektywnych. Jest to poezja wybitnie aspołeczna. Nie jest to bynajmniej zarzut, ale stwierdzenie faktu. Nikt nie jest odpowiedzialny za swoją konstrukcję psychiczną, a tem mniej za postawę wobec zbiorowości ludzkiej, postawę, która jest najczęściej konsekwencją głęboko sięgających przesłanek życiowych. Ale to „splendid isolation“ nie może się ostać wobec wielkich kataklizmów dziejowych. Człowiek wów-

czas instynktownie tuli się do gromady, gromada szuka oparcia w mocnym człowieku.

Wybuch wielkiej wojny europejskiej musiał poruszyć w duszy poetki drżącą dotychczas strunę uczuć zbiorowych. Zobaczymy jak to się dokonało na kartach „Wici“. Wybitne filjacje i echa Konopnickiej nie mogły zastąpić wartości, których się zawsze szuka w wynurzeniach tego typu: samorzutności, bezpośredniości wrażeń, porywu, nieskrępowanego zamiarem literackim natchnienia. Żadnych tonów nowych, żadnej zmiany w postawie wobec otoczenia. Nie słońce miłości, ale płomień nienawiści i zemsty, nie błękit nadziei, ale chmura zwątpień wypływa na widnokrąg, obracamy się ciągle jeszcze w zaczarowanym kole uczuć negatywnych. Ciekawem świadectwem pod tym względem jest przysięga przy trupie poległego kochanka.

„Ja będę ostrą bronią w ręku Twojego ducha; taranem, co w gruz wali, pociskiem, co wybucha... chmurą przekleństwa stanę nad całą ziemią wrażą, opętam wszystkie serca, zamączę wszystkie dusze, aż radość z nich wyłowię, aż życie z nich wykruszę, ...przysięgam, że nienawiść rozniosę, zapaloną całą się stanę wicią złowieszczą i czerwoną, przysięgam, że nie spocznę, nie padnę i nie zgasnę, aż się pożarzem zemsty zaciemni niebo jasne."

To Credo demonizmu, bezwątpienia szczere, choć wypowiedziane zapomocą efektów zużytych, stoi w rażącym kontraście do programowego nieco zakończenia, które ma czytelnikom zasugerować coś w rodzaju obroku duchowego, a stara się tego dokonać z rozrzucającą naiwnością.

„A kiedy się bój skończy, a kiedy się spopiele, ...ty mnie pogromco czarta, przejasny Archaniolu weź do niebieskiej glorii... aż staniam obok siebie w koronach z gwiazd u czoła—Pancerni Towarzysze Michała Archaniola."

Jesteśmy tu świadkami przypadkowej dezorientacji i ub też swia-

domego wypaczenia własnych założeń. Michał Archaniol, pogromca czarta, nie może być jednocześnie patronem zemsty i nienawiści.

Widok trupów otwiera przed poetką nową otchłań zwątpienia. Na twarzy poległego w boju niema ukojenia, jest tylko groza.

„Czyś się dowiedział, że niebo to tylko skorupa, wewnątrz spróchniała oddawna i pusta a tylko z wierzchu nabita gwiazdami?"

I tu, wobec widma kosmicznego kłamstwa, wobec nicości, która przybiera złudne pozory gwiazdzonej obietnicy, załamuje się głos poetki w tragicznym szloch: „Ratuj mnie, Matko Boska, Panno nad pannami!"

Ta, która nie chciała piętnować córki czarownicy i w swej różanej altanie lży lała nad gorzką dolą wyklętej, stanie się odtąd jedyną ucieczką i drogowym wskazaniem duszy zbłąkanej, — więcej nawet niż źródłem pociechy uczuciowej, bo domniemaną głosicielką prawdy niezbitej, objawionej, czemś bliższym człowiekowi niż Matka Boga, bo Duszą Ojczyzny.

„O Ty, do której wracałam z bezdroża po tyle razy, Ty która jesteś bez zmiany, Ty która jesteś bez skazy, ...i nie wiem—Matką Najświętszą jesteś, czy Duszą Ojczyzny, ...zejdź ku nam i... prawdę obwołaj cudem!" (Trzy Struny).

Zwróćmy uwagę na fakt, napozór drobny, a jednak niesłychanie charakterystyczny: po raz pierwszy używa się tu liczby mnogiej: „zejdź ku nam." Samotnica poczuła się częścią gromady, gromady rozproszonej, rozbitej, nieszczęśliwej, na próżno szukającej oparcia w człowieku pozornie silnym, a w istocie równie bezradnym i zbolełym, jak ona.

„O dzieci mojej ojczyzny, po całej ziemi rozsiane, i ja się błąkam i noszę nieznośnie bolącą ranę." Twarda praca na froncie, w czołówce sanitarnej starła skorupę egotyzmu, odkrywając nieznanne dotąd złoże uczuciowe, budząc drżące dotąd na dnie serca instynkty. Nad wezwaniem konającego Jaśka z pod Lublina, u barłoga Kałmuka z nad Wołgi, nad skrwawionymi ciałami tych wczorajszych wrogów, dzisiaj zbratanych w śmierci bezimiennych bohaterów jutra, jednako białe skrzydła rozwinęła czysta Caritas.

Czysta i smutna, bo jeszcze nie widzi kresu i sensu tych strasznych nędz świata, ale już nie mściwa, bo przeorana pługiem wszechludzkiego bólu.

(c. d. n.)

Stefania Podborska-Okolów



PRAWA I LEWA RĘKA



amęt koronkowy oplątał głowę. Jak niespokojny, ślepy chrząszcz szamocze się twarz, i kark faluje gniewnym ruchem. Poprzez jedwabną sieć sukni

widac łopatki opętane szalem wysiłku: przesuwają się pod skórą w linjach szarpanych, tworząc rozpadliny, podobne pustym oczodołom. Ramion niema; są dwie zwiędłe łodygi, oblepione pajęczyną, jak lękiem. Niżej... doskonały łuk bioder, zamknięty precyzyjnie na wzór bransolety, przełamwał senne piękno własnego kształtu i płasza bez wdzięku — rzekłbyś jezioro, szarpące brzegi. Łydki nawet — lekko — myślnie pogodne zazwyczaj — dały się opanować skurczom irytacji. I tylko piersi — ni to zastygłe uśmiechy dwojga kochanków — wśród udręki całego ciała trwają w obcości wszelkim sprawom; ciche, w sobie zamiłowane.

Wreszcie pofolgowały pajęcze oploty: przez otwór rękawa wychynęły triumfujące palce; w ślad za nimi pełznie dłoń, niby jaszczurka i kolistą strugą spływa ramię. Jednocześnie z koronkowego turbanu wyzwała się nagle strzep włosów; i w mgnieniu oka zza czarnej zasłony wstaje twarz. Czoło porysowane tysiącem gniewów, oczy po krawędzie rzęs napełnione troską, zdyszane nozdrza i usta tak żałośliwe, jak serce ptaka.

Złotym dreszczem otrząsa się głowa. Wkoło szyi opada krążek czerni... Prawa ręka — nareszcie wolna, z chybką mistrza przebiega żarliwie jedwabiste przestrzenie — niezawodna i sroga; palce jedynym dotknięciem nadają właściwy wyraz fałdom, łagodzą kaprysy materii, a wśród sumiennych zabiegów błyskają paznogie, jak pszczoły. Koronkowe szaleństwo falą uległą i pieściwą oblewa zwolna postać pani. Z udręki staje się suknia.

A więc umęczone łopatki, ramiona niedołężne i rozkołysane biodra zaprzestają podrygów, stygnąc w kształt ubranej kobiety. Z głową, owianą wichrem złota, dama podchodzi do lustra. Uśmiech; sekunda uwagi; dwoje brwi są jak dwa karcące słowa. I zaraz prawa ręka ze skrucza bieżą ku agrafie, aby sprawdzić zamknięcie. Poczem opada znużona.

Wtedy leniwe skrzydełko motyle wyfruwa wdzięcznie z pośród gałą-

zek tiuniki, i na piersi, obciągniętej koronką, kładzie się, niby listek obcy i świeży — ręka lewa. Pani z wdzięcznością spogląda na uśmiechnięte palce, które patrzają ku niej oczami brylantów.

* * *

Dom jest cichy. Zdrzemnęły się starczym snem mahonie. Firanki napęczniały w słońcu: trwają godne, jak ślubne welony. Azalja oblekła się setką uśmiechów i różowymi oczami flirtuje ze światem. Zwiotczały ściany; siatką barw i cienia, drgającą w głębi lasu, wydają się makaty i obrazy. Przez okna płyną do mieszkania złote chusty blasku, na których kurz mrówczemi łapkami haftuje desenie. Ledwie gdzieś stęknę wiekowy kredens i zaskrzypi posadzka, dotknięta gorącą stopą południa. W powietrzu nasiąkniętem ciszą tworzą się szczeliny i puste koła w miejscach, gdzie powinny drgać kule srebrne Jędrusiowego krzyku. Spokój jest tak doskonały że matkę ogarnia strach. Co robi syn, uwikłany w ciężkie zwoje ciszy? Czemu milczy hałaśliwe gardziółko?

A Jedrus pracuje. W niszy między fortepianem i ścianą w lśniącej hebanowej pieczarze, przysiadł chłopczyk na twardych nóżkach. Wśród gałęzi splecionych na tapecie, krząta się różowy kłębek tłustości — prawa ręka dziecka. W samo serce srebrzystej róży wpięta została długa igła, a dłoń pracownika trzyma nad wbiciem tego gwoźdza aż pod serce ściany. Za młot służy łebek kopenhaskiego szczenięcia — narzędzie ściągnięte mozołnie z biurka tatusa. Ślepy zwierzak — obłany genialnie szkliwem porcelany, niby najżywszym kształtem — stuka szczęką bezzębną w igłę, zaś stalowe ździebło kiwa się na wszystkie strony ku utrapieniu Jędrusia. Ręka z cudeńkiem w garści skacze po ścianie, jak garliwy wróbel. Dzieło jednakże nie posuwa się zgoła. Najprostszym obowiązkiem podołać nie umie pies podły! A zatem niech przepadnie. Oskoczyła sprężynka — syn zrywa się na nogi i z młotem wysoko wzniesionym nad głową, po cichutkim dywanie, bieży ku oknu. Śmignęło ramię sprawiedliwe! Pies duńskiego chowu rędzi światami ku nieznanym dziejom.

I zaraz wracają kroki cichocho — na miejsce chwalebnych wysiłków.

Zdarzyło się wtedy, że przy samej podłodze rożek tapety odchylił się nieznacznie. Dotykają go surowe oczy. Prawica, pełna jeszcze gniewu, a już spragniona chwytów, spada w ślad za spojrzeniem. Tłuste wałeczki oblepiają nieszczęsny rożek papieru; ten — szepcząc słowa protestu — skręca się w sobie i, rad nie rad, wydłuża swe kształty w sposób nieprzewidziany, odsłaniając brzydotę muru. Jedrus wygląda, jak uosobienie dobrej woli i sumiennosci. Męczy się nad siły w zmaganiach z tępotą materii, najłżejszej chęci nie ma zajmować się sprawą tak uciążliwą, ale poczucie obowiązku trzyma go w fatygującej pozycji z ciałkiem, złożonym w kształt scyzoryka. I gdyby nie język — jedyne stworzenie życzliwe — wijący się w drgawkach współpracy, ofiara, doprawdy, byłaby na miarę Fidjasza.

Przestrzeń odarta z tapety, podobna łysinie, rośnie z siłą fatalną, a na dywanie pstrzy się coraz więcej papierowych kędziorków. Zrenice dziecka surowy nadzór mają nad pracą tłuszczykiewicz niewolnicy — ręki prawej. Niech tylko nie dość mocno zacisną się palce, albo dłoń nie dość sprężyscie przylegnie do ściany, pęcznieje ze złości buzia i, jak bał ekonomski, zawisa nad mozołem kopciuszka lewa ręka władcy. Prace postępują opornie, lecz stale.

Aż raptem — wśród największego uniesienia energii — na drodze zjawia się przeszkoda: w serce drukowanej róży wpięta igła... Popłoch wśród gorliwych wałeczków; stagnacja. Ale już policzki wyduły się, jak balon, a nos srogo zmarszczony nakazuje odwagę. Więc pokorna dłoń zbiera się w sobie, pręży do skoku i wreszcie atakuje. Twarz chłopczyka wyraża ten sam zapal, jaki błyszczy w oku samca wśród nocnych szmerów puszczy. Igła trwa; natomiast jeden z wałeczków osiadł na ostrzu, niby gąsienica w pudle botanika; na płatki róży spłynęła ciepła kropla. Jedrus krzyknął.

Więc czempredzej ocknęło się ciche jezioro rozlane po domu. Na puste miejsce, wyżłobione w powietrzu, wskoczyły srebrne kule Jędrusiowego krzyku. Drgnęły sieci, rozpięte na dywanach i drgnęło serce matki. Z dwóch krańców domu biegną ku sobie kroki: zdyszane stopy kobiece i dreptanie rozżalone Jędrusia. W ramiona pani wpada ciało i, jak ptak na gałę-

zi, zawisa Jędrus na współczuciu matczynem. Buzia gorąca od płachu przylega do chłodnej twarzy i ku ustom najwierniejszym wyciąga się łapka. Nie jest to wcale owa pracownica pokorna i bohaterska — krwią naznaczona ręka prawa. Chłopczyk — w puch rozbity, niby pulk po klęsce — nie umie zliczyć strat, ani ocenić zasługi: wargom całującym podana została ręka lewa i długo pozwalala się pieścić — skrzywdzona i łaskawa.

* * *

Mocno uścisnęły się ciała. Dwie głowy są, niby róże z jednej wykwitłe gałęzi — róże krwią szumiące tak, jak morzem szumią muszle. Jedna głowa jasna i druga czarna głowa. Twarze inne, tylko uśmiech na dwóch twarzach jednakowy; słoneczniki, w blask zapatrzone, i oczy ludzkie, śmierć oglądające, i dzieci wśród zabawy, i zmęczeni kochankowie na twarzach różnych uśmiech mają ten sam. Piękne jest łoże i piękni kochankowie.

Przez otwarte okno płynie czar ostry, podobny sienie jaskółce. (Słodycz fjołków okrutniej męczy serca, niż najsrozsza rozkosz, narzucona ciałom).

Wiosna o białych zębach drapieży, wiosna chłodna, jak miecz i jak źródło, wiosna, której uda się zwięźlejsze od czereśni, a włosy pieściwsze od słońca, patrzy w samo dno czworga żreń. Nie widzą siebie kochankowie, chociaż splatają się ich rzęsy — widzą kwiecień.

(Gdzieś tam dziewczyna, próżna miłości i jałowa, jak kryształ jest jałowy bez tęczy — łamie narcyz w niewiedzących palcach, nozdrzami chwyta zapach, a łodyga narcyza chrzęści... Dziewczyna niedługo napełni się wiedzą i łzami. Dotknie ją wtedy dłoń mężczyzny, a ona na dotknięcie już odpowie dreszczem. Obudził ją narcyz).

Ciała trwają w uścisku, aż pokazuje się mielizna w zalewie rozkoszy: ostry, suchy żwir, cierpienie bez smaku, nuda. Bowiem na chybłych skrzydłach odleciał już miesiąc, zostawiając za sobą trzydzieści umarłych dni i nocy kochania.

Były w owym miesiącu godziny niedawne. Między obcemi pani podawała uprzejmą dłoń młodzieńcowi. Wkoło stolika, przystrojonego herbatą i sandwich'ami, biegał od krzesła do krzesła pajak konwersacji, skwapliwie snując sieci. Spojrzenia dwojga przysiadły na pajęczynie, niby dwie złote muchy. Śliczne kwiaty zakłute w kształt filizanek kołysa-

ły się na gałęziach rak między stołem a ustami. W zębach chrupały ciastka i słowa. Młodzi państwo mówili w przestrzeń, nie widząc swoich uśmiechów. Tylko — kiedy dłoń mężczyzny obejmowała poręcz — zazdrościło serce pani martwemu drzewu, i cisnęło się gwałtem między palce kochanka.

Były godziny bliskie. Z dwóch bladych krawędzi świata wytryskiwały drogi, niby promienie, i biegły ku sobie. Schodzili się kochankowie, patrzyli na te same przedmioty, te same pochłaniali chwile, znaczone na tym samym zegarze. Świat cały stawał się nagością. A nagość jedyną prawdą. Całowały piersi i ręce, śpiewały oczy, w ustach załamywały się promienie, jak w szkle purpurowym, zęby uczyły najtkliwszych pieśczęt, a słowa mięciutkie przeszywały ni to groty. Z cnaosu czerwieni i wstrząsów wyłaniało się nagle kolano o polysku konchy i zasłaniało wszystko, nawet miłość. Czasami we włosy wplatały się wonie kwiatów i kadzidła. To znowu imię najdroższe wzbierało w piersi na kształt źródła, napojonego śniegiem i wypływało ciężkimi falami poza krawędzie zmysłów. Morze słodkości zamykało się wtedy nad głowami, i w tej szklanej trumnie odpoczywali kochankowie.

Były godziny dalekie, nasiąknięte tęsknotą, bierno, szafirowe. Chodzili każde swoją daleką, obojętną ścieżką.

On — schylony nad biurkiem — głaskał oczami papiery, ku ludziom zwracał twarz przysłoniętą dobrotliwym okrucieństwem tygrysa. Ona, jak perła wśród krwawników, obasypana codziennością — śniła spotkania i rozmowy. W zimnem świetle jej spojrzenia mąż niekochany, z żarliwością wyznawcy grał miłość dwojga za dwoje. Był pytaniem i odpowiedzią, myślą i wcieleniem, był dłonią chwytającą i schwytanem sercem. Dusza pani — rzekłbyś malutki gronostaj — wila się wkoło nóg dalekiego, w milczeniu pragnąc. Kiedy bliski mężczyzna, podobny psu gończemu, ścigał do jej stóp ciepłą jeszcze. zdobył — dysząc z wysiłku — czekał łaskawości... albo kiedy, zamknięty z żoną w jednym pokoju, chodził, siadał, rozkładał ogon samczej dumy, tokował i cierpiał — myślała: „Ten ochłap zdobywczy mógłby być błękitnym ptakiem, to pudło o sześciu ścianach, które mnie więzi, mogłoby być gniazdem z rajskiego puchu, te ręce mogłyby mówić, jak usta a ten mąż prawowity mógłby być tamtym człowiekiem“.

Teraz... na chybłych skrzydłach odleciał już miesiąc.

(Łodygi narcyzów spływają białą posoką, kiedy złamie je ręka dziewczyny). Trzydzieści dni kochania, jak trzydzieści zamordowanych ptaków leży u stóp łoża. Trzydzieści nocy miłosnych, przeżytych we śnie i na jawie zakwitło i zwiędło razem z krokusami. Z dna rozkoszy wyrasta mielizna — cierpienie bez smaku; ostry, suchy żwir. Rozplatają się ciała, jak dłonie! Bezdźwięcznie płyną obok siebie dwa strumienie minut, znaczone na tym samym zegarze. Cisza nabiera tonów sinych, i zwolna staje się próżnią. A ciała — przed chwilą tak piękne, gładkie i wymowne — mierzchną, przybierając pozór przedmiotów bez znaczenia.

Skrzypnęły drzwi. Wszedł ktoś. W cikliwy opar miłości wpada dźwięk wrogi, jak sztylet. Trzydzieści zabitych ptaków i trzydzieści nocy przekwitłych porywa się spłoszonym stadem. Zwracają głowy ku drzwiom kochankowie. I widzą twarz. „Te oczy mogłyby patrzeć jak sarny; ten mąż prawowity mógłby być tamtym człowiekiem...“ przewiewa przez myśli wspomnienie. Ale „te oczy“ nie patrzą, jak sarny, bo sarnie żrenice są zbyt płytkie, by tyle zawrzeć bólu. Dźwięczą kroki stąpające w stronę łoża.

Strach siecią mroźnych wężyków oplata czoło i nogi kobiety. Na piersi kładzie się pancierz ciężki nad miarę.

A palce jakies krogulcze trzymają powieki w bolesnem rozdarcu. Wreszcie, na samej krawędzi puchowego gniazda — tam, gdzie przez czarny próg schodzi się od miłości do życia — staje człowiek.

I znów szemrzą dwa obok siebie płynące strumienie, na tym samym znaczone zegarze. Tylko sekundy, jak zamierające drobne falki tężeją w wicherze lodowatym, który idzie z oczu trzeciego człowieka. Porusza się kochanek i szelest cieniutkiej materii napełnia pokój hałasem nieznośnym, niby syczenie kłębowiska żmij. Naprzeciw siebie stają mężczyźni: jeden naznaczony tysiącem pocałunków, opity miłością, jak winem, ocieślały i senny; drugi cierpliwy wyznawca chimery, żyjący w wiecznym poniżeniu triumfator, kat własnego serca i maniak nadziei. U stóp kochanka siedzi żona, zebrana w sobie, jak łasica i czeka, aż minie zły sen. Zmęczone jest jej ciało, syta krew, myśli skrzepły na kryształ i żadna chęć nie żyje już w duszy. Zarówno miła śmierć, jak obce życie. Był przeważał się sen: na szczęście czy na zgubę...

A zmora pęcznieje, podobna do chmury; pochłania światło, kłębi się w obrzydłych skrętach i huczy setką głosów.

Już załamał się sufit i pękły ściany, już faluje na wezbranych głębiach łoże i płomienie zaczynają lizać skórę.

Wśród zamętu plam, krzyków i blasku tańczą dwie twarze: ta najdroższa i ta śmiertelnie oddana... Nagle z samego węzła mająków wykłuta ręka, ręka prawa niekochanego mężczyzny i—sprę-

żona ku pani—prosi. „Te ręce mogłyby mówić, jak tamte” — przylatuje echo.

Kobieta wstaje, rzekłbyś miecz godzący w ciało wroga, i chwilę trwa tak na rubieży dwóch oceanów: z lewej strony morze podzwrotnikowe — trujący żar przesytu; z prawej pustynia lodowców, błękitny niedosyt. I ledwie zdążyły

ziewnąć jedno usta, a zadrzeć ledwie zdążyły drugie, miłośnica głową zawisa na ramieniu kochanka — rycerza lewej ręki — a ostrzem żenic zabija oczy męża.

(Gdzieś tam dziewczyna napełnia się wiedzą i łzami. Czeką dotknięcia...)

Marja Kuncewiczowa.

ŻÓŁKIEWSKI A LUCJUSZ EMILJUSZ

Toż Rzymianina, jako strój posągu, ma w rzeźbie historję osobną. Jest dowodem czci dla wielkich ludzi i zdarzeń świata starożytnego.

Cześć ta wyraziła się także w piśmiennictwie.

Mówca, historyk czy poeta epoki, rozmiłowanej w dziejach rzymskich, w nich głównie szukał podobieństwa do wypadków sobie współczesnych.

Ludzi charakteryzował również przez zbliżenie ich ku postaciom, działającym w odległej przeszłości. W porównaniu takim tkwiła już ocena.

Było to wyniesienie człowieka do godności, uznanej przez wieki i narody.

Taki hołd złożyli Polacy Żółkiewskiemu bezpośrednio po jego tragicznym zgonie.

Gdy wieść o klęsce cecorskiej dosięgła stolicy, Tomasz Zamoyski, składając na sejmie w ręce króla insygnia po zmarłym: pieczęć i buławę w koronną, przywiódł obecnym przed oczy wojnę punicką. „Żywym przykładem tej żalosnej historii i klęski i śmierci hetmańskiej — mówił do zgromadzonych — jest w dawniejszych dziejach hetman ów wielki rzymski Emiljusz.”

Podobieństwo spostrzegli i inni. Gdy Petrycy pisał kronikę wyprawy cecorskiej, szedł śladem Liwjuza. Miał on niewątpliwie prawo ówczesną wojnę turecką zestawiać z wielką wyprawą Hannibala. Niebezpieczeństwo było istotnie groźne, skoro Turcja myślała o sołdowaniu Polski, o przeprawie wojsk przez jej ziemie do Brandenburgii. Petrycy o bitwie pod Cecorą pisze zwięźle: hetman nie chciał się ratować, nie przyjął konia, którego mu przywieziono, rzucił się w tłum wrogów i zginął.

Inaczej odtworzył wypadki poeta tych czasów — Samuel ze Skrzypny Twardowski, nacisk kładąc szczególnie na bitwę nieszczęsną, kie-

dy to los na północ „przeniósł nowe ze Włoch Kanny”.

Poeta liczy się wprawdzie z faktami historii, ale głównie podkreśla podobieństwa dziejowe, omijając różnice. Dlatego opuszcza niektóre epizody, znane z relacji naocznych świadków jak: rozmowa Żółkiewskiego z towarzyszami o bliskim zgonie, przebicie konia i in.

Podnosi właściwą obu bohaterom spokojną postawę wobec śmierci, ich głęboką miłość dla żołnierzy, żal do rodaków za krzywdzące posądzenia, a nadewszystko troskę o bezpieczeństwo granic ojczyzny.

Ile to razy pisał i mówił o tem Żółkiewski!

To też wszystkie słowa, które mu kazał wypowiedzieć Twardowski są najzupełniej prawdopodobne, choć nie wszystkie są autentyczne. Nie przypadkiem mówca, historyk i poeta zobaczyli w doli Żółkiewskiego dolę rzymskiego konsula.

Wszak obaj wodzowie rozumieli, jakie niebezpieczeństwo może wyniknąć z nierównej walki, obaj dla dobra kraju unikali jej przeczornie, póki mogli, obu z tej przyczyny robiono bolesne, nieusprawiedliwione zarzuty. Dodać trzeba, że dłużej i dotkliwiej prześladowały oszczerstwa Żółkiewskiego, że mu, jak sam wyznawał „nad śmierć cięższe mi były.”

Zarzucono mu, że nie ratował Koreckiego, wodza partyzanckiej wyprawy na Turków, że zmuszał się z Tatarami na szkodę kraju, że

stchórzył przed Skinderbaszą! Musiał na sejmie r. 1618 dowodzić zebranym, iż mu dobro ojczyzny prawem najwyższym było zawsze.

Przezorni, dojrzały wodzowie wstrzymują się od starcia, miarkują swój zapal. Przychodzi wreszcie chwila krytyczna. Varro zaczął bitwę pod Kannami; Koreccy i Potoccy otworzyli wrogom granice Polski. Obaj wodzowie znaleźli się na straconych posterunkach z cudzej winy, obaj na posterunkach tych wytrwali bez skargi. Nie chcieli nikogo oskarżać ani usprawiedliwiać siebie.

W akcie oskarżenia musiałby iść Hetman nierównie dalej od Konsula, musiałby oskarżać już nie tylko samowolnych magnatów, ale i samego monarchę. Tego Żółkiewski nie chciał; zalecał przecież synowi testamentem posłuszeństwo władzy monarszej, oddając sąd nad pomażanem bożym samemu Bogu.

Pod Kannami ginął Rzymianin, wypełniając surowy nakaz powinności. Po wiekach na podobnej placówce umierał Polak z tych samych powodów, równie tęskniący za śmiercią, równie spragniony wytchnienia.

Tylko, że duch Żółkiewskiego nie skupił się i nie wyraził całkowicie w wyprawie cecorskiej; hetman zakończył tylko swój żywot bohaterski tym zgonem męczennika. Konsul rzymski przeciwnie, według opinii Plutarcha, wypowiedział się najistotniej pod Kannami. Tam bowiem, nie mogąc odwieść kolegi od zamysłu zmierzenia się z wrogiem wbrew woli swej wziął udział w bitwie, ale nie w ucieczce.

Ileż więcej przeżył, doświadczył i zdziałał hetman polski, zanim spełniła się jego żądza ofiarna, by „ieżeli non virtute et ferro, przynajmniej cadavere przystępu nieprzyjacielowi do ojczyzny bronić.”

Głębszej też doznawał odrazy na myśl o usprawiedliwianiu się z wy-



ników walki on, który w zbuntowanym obozie przysięgał swym podkomendnym na Ewangelię, że ich nie zdradzał

Jest w tem tragizm wielkiego człowieka, stwierdzony całym życiem, przypieczonej śmiercią, człowieka, który przez czyny swe

i przez ogrom cierpienia wznosił się ponad rzymskiego wodza.

— W Plutarchowym żywocie polskiego Hetmana znalazłaby się tylko krótka, choć zaszczytna uwaga o Emiljuszu.

Nie dostrzegli tego współcześni. Widząc w dziejach rzymskich naj-

wyższe wzory odwagi, ze wzruszeniem przyjęli i to podobieństwo.

Odpowiadało ono analogii faktów i przedzgonnych nastrojów wodzów, nie wyczerpując bynajmniej zasług dziejowych Zółkiewskiego.

Wyrzekło o polskim bohaterze za mało.

Z. Szmydtowa.

GANDHI „WIELKA DUSZA” INDYJ*)

ORĘDOWNIK PRAW KOBIET I PARJASÓW

„Ciemne oczy, spokojne. Mały człowiek o chudej twarzy i wielkich, odstających uszach. Zawsze w białej czapce. Karmi się ryżem, owocami, pije tylko wodę, śpi na podłodze — krótko, mało. Pracuje bez przerwy.

Jest jakby bezcielesny. Wielka cierpliwość i wielka miłość biją od niego. Pearson przyrównywał go do Franciszka z Assyżu. Prosty, jak dziecko, łagodny, uprzejmy nawet w stosunku do przeciwnika. Niepokalanie szczery. Skromny w sądach o sobie i skrupulatny tak dalece, że zdaje się wahać i nieraz mówi: „omyliłem się”. Nigdy nie ukrywa błędów swoich. Nigdy nie wchodzi w kompromis, nie bawi się w dyplomację, unika efektów krasomówczych, a raczej nie myśli o nich. Nie znosi manifestacji publicznych, cierpi literalnie, gdy jest w tłumie, który go ubóstwia. Czuje się dobrze tylko w małym otoczeniu, a szczególnie w samotności, słuchając w sobie cichego, spokojnego, rozkazującego głosu.

Ten człowiek porwał 300 milionów ludzi, wstrząsnął państwem brytyjskim i zapoczątkował w polityce ludzkiej najpotężniejszy ruch, jaki się przejawiał w ciągu 2000 lat prawie.”

Tak pisze o Gandhim Romain Rolland**).

Jaki ruch wszczął ten wielki apostoł wskrzeszonych Indyj?

Nie krwawą walkę, gdyż jest przeciwnikiem wszelkiej przemocy, a „gdyby prawem i wiarą Indyj stał się gwałt, musiałby rzucić kraj swój na zawsze.”

Gandhi, widząc, do jakiej ruiny doprowadza rząd angielski piękną, kwitnącą Ojczyznę jego, — jak różne towarzystwa angielskie eksploatują dary przyrody tej krainy bogów i wysysają krew z żył robotniczej ludności, a nie dają nic w zamian — żądał szerokiej autonomii.

Niech naród rządzi się sam, niech stanowi prawa swoje, niech ma moc i środki niedopuszczania do wyzysku przemysłowców i kupców, na usługach których jest cała administracja władz zaborczych, patrzącą przez szpary na głód i nędzę mas proletariackich. Niech wicekról i gubernatorowie przestaną być panami w starym kraju, który nie znał jarzma. Niech Indie otrząsną z siebie brzemie cudzych nakazów i wrócą do przedwiekowej swej kultury, przedwiekowych praw i urzędów.

Tego chciał Gandhi i w tysiącach odezw, podań, jasno sformułowanych projektów zwracał się do rządu angielskiego o wprowadzenie „Hind Swaraj” (home rule indyjskiego). A gdy to nie pomogło, ogłosił bierny opór — nie branie udziału w pożyczkach rządowych, bojkot szkół, sądów, trybunałów, przyjęć i wszystkich czynności, narzuconych przez rząd, nie przyjmowanie posad cywilnych i wojskowych.

Odmowa musiała być stała, ciągła, uparta, ale bez przelewu krwi. Do współudziału wezwał całe Indie, wszystkie warstwy i sfery społeczne, nie wyłączając kobiet i parjów, co było niesłychanym wyłomem w odwiecznych zwyczajach hinduskich.

„Cześć wszystkim!..”

W piśmie, zwróconem do narodu, woła:

„Płeć żeńska nie jest płcią słabą. Przez moc poświęceń swoich i ciche cierpienia, przez pokorę, wiarę i poznanie stała się nawet silniejszą. Intuicja kobieca góruje często nad aroganckimi urosz-

zeniami mężczyzn do wyższej wiedzy.”

Nie zawiódł się na orędownictwie swoim. Kobiety hinduskie, poczynając od własnej żony jego — stały się najlepszymi uczenicami, wysoce inteligentnymi pomocnicami i krzewicielkami wielkich doktryn mistrza.

Po wielokroć walczył później jeszcze o stanowisko społeczne Hindusek, wskazując na poniżenie ich, żądając szacunku dla nich i kultu duszy, a nie żeru łakomego ciała. Oddziaływał na te lekkomyślne, gonące za błyskami istoty, dla których ideałem była piękna suknia z bogatej, zagranicznej tkaniny. Uczył je, kształcił w obowiązkach narodowych. Niejedną z jego adeptek — damą wysokiego rodu — odsiadywała więzienie za wprowadzanie w czyn zasad i doktryn mistrza, mężnie przenosząc wszystkie udręczenia i ze wzdargą odrzucając względy dozorców.

Zwraca się nie tylko do kobiet, ale i do traktowanych gorzej od najniższych zwierząt parjasów. Organizuje ich, podnosi namiętny głos oburzenia i bólu przeciw krzywdzie, która nęka i gnębi od wieków tych współobywateli.

Na ławce szkolnej jeszcze po-przysięgał sobie obronę ich, pamiętając, kiedy — jako dziecku małemu — nie pozwalano mu dotknąć żadnego z tych wyklętych, bo to hańbi i brudzi.

Gorącemi odezwaniami wzrusza sumienie klas możnych tak dalece, że jakiś młody człowiek z kasty braminów sam staje w szeregach parjów i pracuje jako prosty zamiatacz.

A w parjach budzi nieznane im dotąd wrażenie — jakiś płomień wiary i ufności w siebie samych i w lepszą przyszłość, jakieś cudne ocknienia dusz, wskrzeszonych

*) Gandhi, zwany przez lud hinduski „Mahatma”, co znaczy: „Mahā” — wielka „Atmā” — dusza.

**) Mahatma Gandhi Lebrairie Stock Paris 1924 r.

z letargu, które nagle spostrzegły, że świat jest piękny.

Znajduje w nich tak samo, jak w kobietach, najgorliwszych popleczników swoich idei.

Drogowskazem walki Mahatmy było — poza bojkotem praw i ustrojów, narzuconych przez rząd zaborczy, — bojkot przemysłu angielskiego — przeciwstawienie mu starohinduskiego przemysłu domowego.

Wymieść bez pardonu maszynę, tego „bałwana potwornego“, który wysysa mózg i automatyzuje jaźń ludzką! Przywrócić dawne kołowrotki, nauczyć prążyć cały naród!... Niech rolnik, który obrobił rolę i ginie później z głodu bez pracy, ma pomoc w tej swojej domowej robocie. Niech staje przy własnym warsztacie stolarz, ślusarz, cieśla, których za byle co pochłania fabryka, kiedy jest robota, wyrzucając na bruk, gdy jej niema.

Umysł twórczy i czujny—Gandhi pisze programy dla szkół, które mają być ogniskiem czysto hinduskiej kultury, stwarza przykazania moralności, układa plan szczegółowy biernego oporu i rozrzuca odezwy swoje po całych Indjach. Nie są to suche dekrety europejskie. Apostoł prawd wielkich wnika w głąb duszy hinduskiej, chce ją przetworzyć, oczyścić, zrobić godną nowego życia.

Rząd angielski drwi na razie z tych doktryn i metod. Ale—widząc, że prorok ma cały naród za sobą, zaczyna stosować system represyj, aresztowań, masakrów. Gubernatorowie zabraniają wieców. Policja gnębi ludność z tem zimnem, wyrafinowaniem okrucieństwem, które jest właściwością rasy anglosaskiej.

Przeciwko Gandhi'emu staje nie tylko rząd angielski, ale i najserdeczniejszy niegdyś jego przyjaciel, słynny powieściopisarz — poeta, Rabindranath—Tagore, który usiłuje połączyć kulturę wschodu z kulturą zachodu.

Gdy Gandhi woła: „Tkajcie i prządzcie!... Niech odżyje w was dawna dusza hinduska!... Niech zmartwychwstanie i objawią się w pięknie prostoty i czystości prastare Indje!...“ Rabindranath wbrew niemu pisze i poucza. „Naród, który zamyka się sam w sobie, idzie przeciw nowym wiekom. Indje powinny stać się obrazem współdziałania wszystkich narodów świata. Duchowem samobójstwem jest dążenie do oderwania umysłowości naszej od umysłowości zachodu. Nie może być zbawiony naród, który odłącza się od innych. Albo ratować się razem, albo razem ginąć!...“

Stwarza uniwersytet międzynarodowy i zdobywa garstkę adeptów.

Ale za Gandhim idzie cały naród.

Rząd Wielkiej Brytanji, przerażony jego wpływem, wytacza mu proces, po skończeniu którego — w marcu 1922 r. Apostoł zostaje skazany na sześć lat więzienia.

A wtedy miliony Hindusów, wiernych nauce mistrza, idą również do więzień. Masowemu aresztowi podlega całe plemię Akalów, którzy w wieńcach białych kwiatów na czarnych turbanach, modląc się w skupieniu, składają przysięgę, że nie będą używali gwałtów, ale zostaną wierni zasadzie biernego oporu. Policja drągam i ostrym żelazem na końcu powala ich na ziemię i bije aż do krwi. Tracą zmysły, skatowani, storturowani, ale nie wydają jęku ani krzyku, bo wszak mistrz bez skargi poszedł na mękę niewoli.

Nie dopełniono wyroku sądu nad Gandhim w całości. Dnia 4 lutego 1923 r. skutkiem konieczności nagłego zoperowania ślepej książki zostaje dostojny aresztant bez upoważnienia władz — na odpowiedzialność doktora jedynie — zabrany z więzienia i przewieziony do szpitala. Rząd zniósł karę następnie.

Wyzdrowienie i uwolnienie Mahatmy staje się wielkim świętem narodowym. Radość ludu niema granic. Odbývają się olbrzymie procesje, gromadne mityngi—jeden wylew uniesień i uczuć płomien-nych.

A Gandhi — wychudły — cień prawie i cały jakby w świetle — jest poza zjawą realną. Dopuszczają do niego tylko najbliższych, z którymi mówi cicho, łagodnie, kojąco i z wielką pogodą, jak gdyby nie należał już do nich.

„Dusza w pokoju z całym światem.“

Najpotężniejsza — obok Wilsona—postać doby współczesnej.

C. W.



ZDROWIE NASZYCH DZIECI

By ułatwić naszym czytelnikom zaznajomienie się z szeregiem ważnych zagadnień z zakresu wychowania fizycznego dzieci, redakcja „Bluszczu“ wprowadza nowy dział: higienę dziecka. W prowadzeniu tego działu korzystamy ze wskazówek łaskawie nam udzielanych przez lekarza chorób dziecięcych, dr. H. Trenknera.
(przyp. Red.)

FIZJOLOGJA NOWORODKA I NIEMOWLĘCIA.

Z chwilą przyjścia na świat dziecka rozpoczyna się czynność oddechania. Ruchy oddechowe początkowo nieregularne, ujednolajniają się wkrótce; bardzo często przez pierwsze dni — 45 przeciętnie na minutę, — stają się stopniowo coraz rzadsze, dochodząc do 27 na minutę u dziecka siedmiomiesięcznego, u dwuletniego nie przekraczają 25. W każdym razie są częstsze, niż u dorosłego (15—17 przeciętnie na minutę).

Krążenie krwi.—Równocześnie z oddechaniem rozpoczyna się u noworodka krążenie krwi — takie samo jak u dorosłego — zastępując poprzednie (płodowe).

Tętno (puls) płodu wynosi 120—130 uderzeń na minutę, podobnie jest u noworodka; u niemowlęcia ośmiomiesięcznego mamy jeszcze 115 uderzeń na minutę. W każdym razie tętno u dziecka jest zawsze częstsze niż u dorosłego (około 70—75 uderzeń na minutę). Tętno dziecka bardzo łatwo się zmienia — najrozmaitsze przyczyny jak krzyk, przestrasz, wszelkie wzruszenia przyspieszają je. Jego zmienność jest tak znaczna, że „mierzenie pulsu“ dla określenia gorączki małego dziecka jest bezcelowe — termometr jedynie może dać dokładną wskazówkę co do jego temperatury. Temperatura dziecka, nieco wyższa niż dorosłego waha się około 37, przytem wieczorem bywa mniej więcej o 2 dziesiąte wyższa niż rano. Dzieci wątłe, słabe, mają temperaturę niższą 37°, oziębiają się przytem niezwykle łatwo — ich temperatura wewnętrzna może obniżyć się do 36, 35 nawet 34° i więcej jeszcze. To obniżenie temperatury jest bardzo niebezpieczne—istnieją oczywiście sposoby zaradzenia temu złu.

Niemowlęta dostają bardzo łatwo gorączki i to wysokiej,—która bardzo szybko nieraz znika. Z okazji kataru, sapki, trudności w trawieniu, jakiejś fermentacji w kisz-kach temperatura momentalnie się podnosi — to też gdy dziecko jest „inne“ niż zwykle, powinno mu się mierzyć temperaturę, aby móc w

danym razie doszukiwać się przyczyny tej zmiany i ewentualnie ją usunąć. Do mierzenia temperatury używa się termometru lekarskiego rtęciowego, który wprowadza się do kiszeki sztolcowej (rezerwoarek z rtęcią, posmarowany lekko wazeliną wchodzi do kiszeki bardzo łatwo, bez najmniejszej trudności). Trzeba jednak termometr przytrzymać ręką, gdyż odruchowo dziecko usiłuje go się pozbyć. Trzech minut wystarczy aby słupek rtęci wskazał nam temperaturę. Po użyciu należy termometr wymyć zimnym kwasem bornym, lub lepiej jeszcze roztworem sublimatu (1 na 1000; 1 gr subli. na 1 litr wodą).

Trawienie. Przewód pokarmowy u noworodka i niemowlęcia nie jest całkowicie wykończony — brakuje zębów, wydzielanie śliny bardzo nieznaczne, żołądek malutki. Braki te natura wynagradza, przygotowując dla niemowlęcia pożywienie łatwo strawne, zawierające wszystkie niezbędne składniki odżywcze — jest niem mleko matki. Uchylając się od spełnienia tego nakazu natury i dając dziecku zamiast mleka matki, mleko jakiegos zwierzęcia np., co bywa najczęściej, krowy, narażamy poważnie zdrowie dziecka.

Znajomość wymiarów żołądka dziecka pozwala nam na dokładne określenie ilości mleka, które mu dać możemy. — W pierwszym tygodniu pojemność żołądka nie dochodzi 50 centymetrów sześć. w końcu I-ego miesiąca osiąga 100 cm³, a w końcu III-ego — 150 cm³. Do całkowitego opróżnienia żołądek potrzebuje 2 do 3 godzin, z tego wynika, że między jednym a następnym ssaniem musi być przerwa conajmniej dwugodzinna.

Wydzielanie śliny prawie żadne w pierwszych dniach życia zwiększa się stopniowo, aby w czwartym miesiącu przyjąć ostateczne formy.

Wydaliny — Uryna. Pierwsze oddawanie moczu zdarza się zazwyczaj w parę godzin po urodzeniu dziecka — zdarza się jednak czasami, że maleństwo moczy się jeszcze przed przecięciem pępowiny — gdyż pęcherz jego zawierał nieco uryny. Może się to pierwsze oddawanie moczu znacznie opóźnić i wystąpić dopiero w 24 a nawet 36 godz. po urodzeniu. Nie powinno to niepokoić, gdyż ilość wydalonego moczu jest zależna od ilości wyssanego przez noworodka mleka — a wszak ten nic nie pobiera w ciągu pierwszych 24 godzin. W miarę jak zwiększa się ilość pokarmu w piersiach matki, i dziecko wysysa go więcej, temsamem zwiększa się ilość wydalonej uryny. U niemowlęcia jest ono 3 do 4 ra-

zy intensywniejsze niż u dorosłego, co jest oczywiście w związku z jego pożywieniem, wyłącznie płynem. Moczenie się jest początkowo bardzo częste, gdyż pojemność pęcherza jest mała — z jego powiększeniem się, dzieko moczy się rzadziej. Naukę porządku należy rozpocząć jak najwcześniej — wysadzając przedewszystkiem po każdym śnie. W stanie normalnym uryna dziecka jest jasno żółta, jaśniejsza niż dorosłego; w wypadkach chorobowych (patologicznych) może być zabarwiona na czerwono przez krew, na zielono lub brązowo przez barwniki żółci. W chorobach gorączkowych, zakaźnych uryna staje się czerwona, ciemna i gęściejsza. Uryna jasna jest bezwonna; ciemna ma woń — jak u dorosłego. Czasami po przeziębieniu uryna mętnieje — na skutek strącenia pewnych soli — nie należy się tem niepokoić — ten objaw nie jest chorobowy.

Wypróżnienia. Od funkcjonowania kiszek zależy zdrowie dziecka — to też obserwacja stolczków niemowlęcia jest pierwszorzędną wagą.

Przez pierwsze 2—3 dni dziecko wydala zawartość jelit t. zw. „smółkę” — masę gęstą, zieloną mniej lub więcej ciemną. Z chwilą jednak, gdy dziecko zaczyna odżywiać się mlekiem, stoleczki jego zmieniają się — barwa zielona przechodzi w zielonawą, a drugiego lub trzeciego dnia w wyraźnie żółtą.

Wypróżnienia normalne dziecka, karmionego wyłącznie pierśią, mają cechy następujące: — kolor złotawo-żółty, konsystencja musztardy, są bezwonne, w ilości 3—4 w ciągu 3, 4 pierwszych dni, stają się coraz rzadsze, dochodząc wkrótce do 2 na dobę. O ile jest wypróżnień więcej niż 2 na dobę, mamy już do czynienia z początkiem biegunki (diarrhic). Zdarza się przeciwnie, że dziecko nie ma wypróżnienia w ciągu doby — czyli ma (obstrukcję) zatwardzenie.

Często zwykła lewatywa z letniej wody wystarczy do wywołania wypróżnienia. Tego rodzaju obstrukcja trwa nieraz całe miesiące — nie powinna ona niepokoić, ani na razie, ani na przyszłość — nie przeszkadza ona w rozwoju dziecka, — które może doskonale przybierać na wadze.

Stoleczki dzieci, sztucznie karmionych są odmienne o wiele bledsze, gęściejsze — podobne do kitu, przytem mają najczęściej bardzo przykrą woń.

Stoleczki chorobowe (patologiczne). Zmiany chorobowe mogą polegać przedewszystkiem na zmianie koloru wypróżnienia, — któ-

re może być zielone, zielone zmieszane z białym, czasami jakby zupełnie odbarwione — co wskazuje na złe funkcjonowanie wątroby. Dalaj zmiany te mogą dotyczyć konsystencji — zamiast masy jednolitej, w wypadkach biegunki widzimy luźno tylko połączone kawałki, a następnie wypróżnienie staje się płynne. Przeciwnie w wypadkach zatwardzenia, szczególnie u dzieci, sztucznie karmionych stoleczki stają się niezmiennie twarde. Te chorobowe wypróżnienia mają niemiłą, często wprost ohydliwą woń. Przekonano się, że substancje o podobnej smrodliwości, uwięzione w jelitach, mogą poważnie zatruć organizmy małych dzieci.

Chorobowe objawy odnoszą się także i do częstotliwości wypróżnień. Niemowlę powinno ich mieć 2 na dobę. — Przy większej ilości mamy do czynienia z biegunką.

Skóra. Skóra noworodka zaraz po urodzeniu pokryta jest gęstą, lepka mazią, która przy pierwszej kąpieli się zmywa — oczyszczona skóra jest gładka, delikatna, ciemno-różowa prawie czerwona. — Czerwoność ta zwykle b. szybko znika, skóra staje się żółta — i zaczyna się łuszczyć. Łuszczenie to zjawia się między 4 i 8 dniem i trwa jakiś czas. Na pośladkach, skóra bywa często mocno zaczerwieniona, oczywiście pod wpływem drażniących działających złych wypróżnień, a także i moczu, w których dziecko leży nieraz czas dłuższy. Uregulowanie żołądka i czyste utrzymanie dziecka wystarczą do usunięcia tego zaczerwienienia. Na ogół skóra niemowlęcia jest delikatna, łatwo ulega podrażnieniu i pęka — zapobiegamy temu przez obfite pudrowanie np. talkiem w zgięciach, pod puszkami, szyi, organów płciowych i pośladków.

U malutkiego dziecka gruczoły potowe są bardzo mało rozwinięte — stąd dziecko mało się poci. W związku z tym faktem trzeba pamiętać, że nie należy starać się o wywołanie pocenia, jak to często bywa przy gorączkach wysypkowych. Jest to nie tylko bezużyteczne, ale może być nawet szkodliwe, gdyż pozbawia się organizm dziecięcy płynów, których potrzebuje, choć skóra noworodka jest bardzo mało czynna w pierwszych tygodniach życia, jednak gruczoły łojowe wydzielają tłuszcz, specjalnie obficie na główce — mocno przylegając do skóry owłosionej; oczywiście nie należy do tego dopuścić — w tym celu powinno się codziennie przy kąpieli zmywać starannie główkę dziecka ciepłą wodą z mydłem, i delikatnie miękką szczotką szczerować.

Ciemiaćzko. Przy zbiegu niektórych szwów czaszki, zawartość czaszki pokryta jest nie kością, a błoną, nazywamy to miejsce „ciemiaćzką”. Najważniejsze ciemiaćzka są 2 — duże i małe. Ciemiaćzko duże — przy zbiegu szwów czołowego, strzałkowego i 2 wieciowych; znika ono między 12 a 14 miesiącem życia. Błona ciemiaćzka dużego (przedniego) podnosi się często rytmicznie — jest to objaw normalny. Wywołane one są przez płyn mózgowo-rdzeniowy, oblewający mózg, który to płyn podlega resztkom, które mu przekazują arterje. Ciemiaćzko to należy myć i szczotkować bez obawy uszkodzenia mózgu. Ciemiaćzko małe przy zbiegu szwów strzałkowego i potylicowego, znika w parę dni po urodzeniu.

(c. d. n.)

A. K.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



MILCZENIE JEST ZŁOTEM...

W Radzie Ustawodawczej stanu Missouri zasiada, pośród licznej grona kolegów mężczyzn, panna Emena Knell. Przez czas przeszło rocznego swego urzędowania zdążyła już się odznaczyć w sposób dość osobliwy. Oto mianowicie — nie wygłosiła ani jednego przemówienia, ograniczając się jedynie (i to rzadko) do zabierania głosu w dyskusji, o ile poruszana sprawa wydała się jej bardziej interesującą. Nie należy jednak sądzić, aby powodem tego milczenia była nieśmiałość, lub też brak zainteresowania obradami, przeciwnie, bierze ona żywy udział we wszystkich pracach Rady, niechęć zaś swoją do długich przemówi motywuje bardzo prosto: „Im więcej gadania — tem mniej roboty”.

— Zostałam wybraną do Rady — mówi p. Knell — nie po to, aby wygłaszać długie i kwieciste przemówienia, najczęściej beztreściwe, które zabierają tylko niepotrzebnie czas i nudzą śmiertelnie słuchaczy — lecz po to, aby pracować. Toteż postanowiłam sobie, że mówić będę tylko wtedy, gdy znajdę potrzebę — a każde moje przemówienie będzie krótkie, rzeczowe i bez żadnych retorycznych upiększeń”.

Obyż te zasady znalazły licznych naśladowców wśród rzeszy poselskiej wszystkich krajów!

O RÓWNOUPRAWNIENIE... DLA MĘŻCZYZNI!

„Washington Post” podaje ciekawy przykład nierówności kobiety i mężczyzny wobec prawa w St. Zjednoczonych: Sąd główny w stanie Kolumbja rozpatrywał w jednym i tym samym dniu dwie sprawy: pewnej ekspedjentki sklepowej, oskarżonej o kradzież przedmiotów ogólnej wartości 100 dolarów, oraz pracownika fabryki samochodów, który przywłaszczył sobie różne części maszyn na sumę 300 dolarów. Pierwszą z oskarżonych sąd skazał na pięć lat więzienia, drugiego za ledwie na jeden rok. Wyrok ten, ogłoszony bez motywacji, wywołał oburzenie organizacji kobiecych, które wystąpiły z protestami w prasie, domagając się „równouprawnienia dla mężczyzn” i jednakowej odpowiedzialności wobec prawa!

ZA MAŁO KOBIET!

Wedle danych statystyki urzędowej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przybywa w roku więcej chłopców, niż dziewcząt. W roku 1923 na terrorjum Stanów Zjednoczonych urodziło się 911831 chłopców, a za ledwie 863080 dziewcząt. Amerykanie są poważnie zaniepokojeni tem zjawiskiem i zadają sobie pytanie: gdzie ci chłopcy, skoro dorosną, będą sobie musieli szukać żon?

Na to jednak odpowiedź jest dość łatwa; znajdują je w Europie która znów w przeciwieństwie do Ameryki wykazuje coroczny dość znaczny przyrost ludności żeńskiej.

Tak np. w Anglii na 1000 chłopców przypada 1093 dziewczęta, we Francji — 1095, w Szwajcarii — 1077, w Czechach — 1075, w Austrii 1089, w Norwegii — 1068, w Danii 1053, we Włoszech — 1050, w Belgii — 1039, w Jugosławii — 1042 i w Grecji 1014. Największy jednak przyrost ludności płci żeńskiej wykazują Niemcy z Rosją, w Niemczech bowiem na 1000 chłopców przypada 1100 dziewcząt, a w Rosji aż 1229!

„Wiernik na Żenata”, z którego czerpiemy to zestawienie, nie podaje cyfr, dotyczącej Polski. Natomiast podkreśla, że z wszystkich państw europejskich tylko dwa, mianowicie Bułgaria i Rumunia, wykazują stosunek odwrotny t. j. większy przyrost ludności płci męskiej. W Rumunii na 1000 chłopców przypada 997, a w Bułgarii 884 dziewcząt.

Z. B.

Z REFLEKSYJ NA CZASIE

Zwykłym następstwem, nawiedzającym kraje powojenne, są epidemie. Epidemie bywają różne: lżejsze i poważniejsze, mniejsze lub szersze zakreślające kręgi i zostawiające po sobie różne następstwa.

Jednak epidemie wszystkie bywają przemijające. Do walki z nimi wzywa się wszystkich i wszystko, ima się każdych środków, byleby tylko zapobiec dalszemu ich szerzeniu, byleby ratować społeczeństwo.

Wielka wojna rozpałała i objęła płomieniem niemal świat cały, przeto i epidemia, która jest jej następstwem — objęła również prawie cały świat!

Przeciwko epidemii, o której chcę mówić nie podejmuje się walki energicznej; nie robi się nic, lub prawie nic, to też panoszy się ona, rozwijając coraz bardziej, coraz bardziej katastrofalne przybierając rozmiary, brzemienna w następstwa niesłychanie groźne, staje się plagą społeczeństw!

Epidemia, o której chcę mówić — są to rozwody!

Niestety, kraj nasz uległ jej nie w mniejszej mierze od innych... Dotknęli są nią wszyscy.

Do białych kruków niemal należą już u nas te rodziny, w którychby przynajmniej jedno małżeństwo nie podało się do rozwodu, nie mówiąc już o separacjach.

I z przerażeniem patrzy się w przyszłość:

Dąkady idziemy,

Pewne utrudnienia, jakie czynią konsystorze wszystkich wyznań — nie pomagają! frymarczy się sumieniem i religią, zmienia się wyznania, byle tylko obejść prawo, byleby uzyskać upragniony rozwód.

Tak!

Przeglądając statystyki konsystorzy, prócz potwornie wzrastających cyfr podań o rozwody, uderza nas i to, że lwia część tych podań pochodzi od małżeństw świeżo zawartych.

Czego to dowodzi?

Przedewszystkiem lekkomyślności, z jaką małżeństwa te zawierane były; słabości charakterów, zaniku moralności, małej subtelności uczuć, braku religijności wreszcie!

Tak!

Z dumą mówimy o sobie, iż zajmujemy czołowe miejsce w wielkiej rodzinie chrześcijańskiego świata!... lecz, niestety, cnót chrześcijańskich posiadamy niewiele!

Gdzież jest chrześcijańska wyrozumiałość i przebaczalność uraz?

Gdzież jest wypełnienie w chrześcijańskim pojęciu wyrazu: „obowiązek“?

Gdy refleksje te obudzą się czasem w sumieniach — natychmiast przygłuszane bywają przez dwa wyrazy:

Życie — i użycie!

...„Wszak żyjem tylko raz!“ — refren ten opacznie zrozumiany i przyjęty został.

...Więc żyje się i używa!... Dziwacznie, często bez zasad, w domu i szkołach wychowywana młodzież, dojrzewa przedwcześnie — i, przedwcześnie wchodzi w życie, niemające już dla nich żadnych złud, żadnych tajemnic. Wchodzi w nie z tą zarozumiałą pewnością siebie młodości, — że wie już wszystko, że nic nowego nie znajdzie. Jeżeli jednak coś dobrego czy ciekawego życie dać może — to bezwzględnie, egoistycznie będzie się starać wyzyskać dla siebie, bo... żyje się tylko raz!... Nagle, na swojej drodze, spotyka jednostkę płci odmienniej. Pociągnięcie do siebie potęgą zmysłów, duchowo obcy, charakterami, pojęciami różni, nie widzą tego, nie zastanawiają głębiej, ulegają tylko woli zmysłów. Pobierają się!... w krótkim czasie następuje przesyt... nuda... często wstręt. Tak, wstręt! — Ponieważ prócz zmysłów nic ich innego nie łączyło — dzieli zaś obecnie wszystko — szukają wyzwolenia w rozwodzie.

To wyjście zdaje się być najłatwiejszem, najłagodniejszym, zwłaszcza jeżeli niema obowiązków.

Lecz jeżeli obowiązki są, jeżeli są dzieci?

O, ten szkopał nie gra żadnej roli!... Przecież „w grę wchodzi szczęście ludzkie“ — powtarza się tani frazes z lichej literatury — dla przyciszenia wyrzutów sumienia; — lub: „honor nie pozwala mi postępować inaczej“ tłumaczy się komuś z naciskiem.

Tak, honor to wielka rzecz!

W obronie honoru... więc dzieci? cóż narazie, często na „złość“ walka o nie, zacięta, nieustępliwa, o te dusze ludzkie, których kształtowanie chce jedno lub drugie wziąć w swe nieumiejętne, niepowołane dłonie. Zdobywszy to prawo, zyskuje pełne zadowolenie! Więc jednak! Postawiono na swoim, zwycięstwo! Warto było wszcząć walkę, by zyskać taką pełnię satysfakcji.

I żadnych ulg dla przeciwniej strony! Niechaj wije się z bólu, niech kona z tęsknoty... Dzieci? o nie, nie zobaczy ich więcej, dzieci? moje!

Lecz pytamy nadal natarczywie: cóż się z nimi teraz stanie?

Ano, jakoś to będzie... Może czyjeś płatne ręce? czasem rodzice, jeżeli żyją jednej lub drugiej strony, nierzadko krewni dalsi.

A czasem matka lub ojciec; — lecz i wtedy w życiu dzieci zachodzi zmiana na gorsze — rodzice przeważnie wchodzą w powtórne związki małżeńskie — wtedy dzieci są na ostatnim planie — bywa, że dla „zupełnego szczęścia“ usuwa się je z domu, powierza opiece komuś z rodziny lub pensjonatom.

Tak oddawane z rąk do rąk, bez rodzinnego ciepła, bez pieśczęty matki, ojca, bez ich troskliwości, czulej opieki wzrastają te niewinne ofiary egoizmu, czy niemoralności. Dobrobyt materialny, jeżeli nawet jest, nie zastąpi im braku pełnego miłości ciepła i harmonji domu rodzinnego.

Harmonja domu rodzinnego!

Z jaką zazdrością, dzieci te bywać będą w domach rówieśników swoich, gdzie wszystko będzie tak inaczej... czy są gorsze od innych dzieci?

Tak, to są niewinne ofiary epidemji rozwodowej!

Robią dziś tak wszyscy! Świat cały! Dlaczego więc mieliby poświęcać się? Popełnili fatalną pomyłkę byli przecież pełni dobrych chęci — nie udało się! Nie można przecież było przewidzieć, co da życie? — nie można jednak przedwcześnie rezygnować z praw do szczęścia i zupełnie niepotrzebnie męczyć się.

Robią dziś tak wszyscy!

Więc... wpływa nowe podanie do króregoś konsystorza, padają nowe ofiary epidemji.

Doprawdy czas, czas już wielki, żebyśmy się wzięli do walki z tą potworną epidemją, za którą w ślad idzie zupełny upadek moralności, i szereg nieszczęść dla istnień niewinnych.

Niechże za przykład służy nam Irlandja, gdzie ostatnio parlament wystąpił z tak słusznymi zarządzeniami przeciwrozwodowemi — broniąc całości ogniska domowego, biorąc w opiekę niewinnych t.j. dzieci, a utrudniając pokłóconym małżeństwom zawieranie powtórnych związków małżeńskich — nakładania do większych ustępstw wzajemnych, wyrozumienia i, przede wszystkim większego poszanowania Sakramentu Małżeństwa.

Nigdy nie staliśmy niżej od innych narodów pod względem moralności — miałooby teraz być inaczej?

Kobiety polskie mają swą piękną kartę w historii; słynęły z uczciwości! Moralność ich była niemal przysłowiowa; zaletami temi i wdziękiem sobie tylko właściwym, umiały jednak zawsze utrzymać przy sobie niestały ród męski, zbrojne w tak poważne argumenty, mogły śmiało wystąpić do walki z przybyłą do nas zza mórz epidemją. Zwycięża!

Kazet

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I SPORT

SYSTEM ODZNAK SPORTOWYCH.

Korzystając z uprzejmości p. Józefy Gebethnerówny, która tłumaczy właśnie broszurkę finlandzką „Lilla idrottsboken“ czyli „Książeczka sportowa“ miałam możliwość zapoznać się bliżej z systemem odznak sportowych, który coraz bardziej rozpowszechnia się w Finlandji.

System to tak ciekawy i pożyteczny, że warto jak najrychlej poznać jego zasady i pomyśleć, czy nie udałoby się przeniesienie czegoś podobnego i na nasz grunt.

Polega on na tem, że ustanowiono tam cały szereg odznak, któremi oznacza się przynależność do pewnych grup sprawności fizycznej. Sprawność tę ocenia się przez zdanie egzaminu, lub raczej poddanie się próbom o ściśle przepisany zakresie.

Na egzamin taki składają się oznaczone ćwiczenia gimnastyczne, ćwiczenia lekkoatletyczne (lub przygotowawcze do lekkiej atletyki dla dzieci) a więc rzuty, biegi i skoki, dalej sporty jak narciarstwo, łyżwiarstwo, jazda konna, kolarstwo, pływanie, wioślarstwo, automobilizm i t. p.

Ubiegać się o odznakę sportową, czyli poddawać się egzaminowi mogą wszyscy, dla wszystkich są przewidziane odpowiednie normy sprawności, każdy może być zaliczony do jakiejś kategorii, począwszy od dzieci 9-cio letnich aż do lat 40, a nawet 50-ciu.

Wprowadzenie systemu odznak wypłynęło ze zdrowego, racjonalnego poglądu narodów północy na wychowanie fizyczne, z prawdziwej i umysłowej demokratyzacji sportu, z bogactwa jego form, z zamiłowania, jakie mają do życia na powietrzu, w ruchu wszystkie warstwy narodu, tak mężczyźni jak kobiety i dzieci.



System ten ma rację bytu tam, gdzie wszyscy naprawdę wysoko cenią u siebie i u drugih sprawność i wyrobienie fizyczne, gdzie u wszystkich rozwinięta jest silna ambicja sportowa.

Ogromnie dodatnią jego stroną jest to, że odznaki otrzymuje się nie tylko za jednorazowe dokonanie pewnych ćwiczeń, lecz odznaki wyższe przyznawane są tym, co dokonywują ich kilkakrotnie w dłuższych odstępach czasu, a więc chodzi tu o stałe utrzymywanie się w pewnej „formie”, o niezaniadbywanie się po dojściu do pewnych rezultatów.

System taki, opierając się na szlachetnej rywalizacji tak jak i wszelkie zawody, ma tę wyższość nad niemi, że o odznakę ubiegać się mogą nie tylko specjalnie uzdolnieni lub wyćwiczeni, gdyż próba sprawności stosuje się do norm przeciętnie wytrenowanego człowieka, wszyscy więc zdrowi i jako tako przez naturę uposażeni starają się osiągnąć pewien poziom, nie mogąc marzyć o odznace np. złotej ćwiczą, by zasłużyć na srebrną lub brązową. Co również ważne, że raz doszedłszy do pewnej wprawy w jakimś ćwiczeniu czy sporcie, starają się jak najdłużej wprawę tą utrzymać.

Tam, gdzie głównym celem i sposobem zachęcenia do sportów są zawody, często się zdarza, że zawodnik, widząc, iż nie dojdzie do pierwszorzędnych wyników lub gdy z powodu wieku wyczyny jego zaczynają być słabsze, zarzuca daną gałąź sportu mimo, że mógłby ją doskonale długie lata uprawiać.

System odznak prócz tego, że stanowi znakomity bodziec, zachęcający szerokie masy do ćwiczeń fizycznych, przyczynia się też ogromnie do rozwijania wszechstronności w sporcie.

Od każdego bowiem wieku wymaga znajomości kilku przynajmniej rzeczy równorzędnie, przeciwdziałając przez to zgrabnej często dla zdrowia i harmonijności rozwoju specjalizacji, a popiera dążność do osiągnięcia rozwoju fizycznego wszechstronnego i długotrwałego, uniemożliwia jednostronność i przetrenowanie w jednym kierunku, co tak łatwo zdarzyć się może u ludzi, mających na celu mistrzostwa i rekordy tylko.

Przepisane dla zdobycia odznaki ćwiczenia odbyć trzeba w ciągu jednego roku, a więc np. można oddzielnie wykonać ćwiczenia gimnastyczne, sporty zimowe, a latem zdać egzamin ze sportów wodnych.

W ciągu roku zdobyć można tylko jedną odznakę. Gdy ktoś

egzaminu nie zda, ma prawo trzykrotnie powtórzyć go w ciągu tegoż roku.

Egzamin taki składa się przed komisją, w której skład wchodzi nauczyciele gimnastyki, a także osoby, odznaczone wyższymi (złotymi) odznakami, w braku zaś specjalistów przy egzaminie z ogólnie znanych sportów, jak narty, pływanie i t. p. wystarczy zaświadczenie dwóch wiarogodnych osób.

Podział odznak według systemu Fińskiego Związku Sportowego jest następujący: o pierwszą odznakę brązową dziecięcą ubiegać się mogą dzieci już od lat 9-ciu, (chłopcy do 10-ciu, dziewczynki do 11-tu lat). Przepisane ćwiczenia dla obu płci są jednakowe. I tak, aby otrzymać odznakę brązową, wykonać musi dziecko poprawnie kilka łatwych ćwiczeń gimnastycznych, musi umieć przeskoczyć wzdłuż 60 ciu, a w dal 120 cm. rzucić piłkę lewą i prawą ręką w sumie 20 m. (Finlandczycy we wszystkich schematach ćwiczeń stosują rzuty obydwoma rękami, a przy skokach odbicia raz na lewą raz na prawą nogę) dalej rzucić do celu piłką z odległości 3 m. przebiec szybko 50 m., przebiec wolniej 500, przejść 1 klm. w 12 minut, oraz dowolnie przepłynąć na pasie korkowym 25 m. lub przejechać na nartach 2 klm., albo wykazać umiejętność początkowego ślizgania się lub wiosłowania, gdy steruje ktoś starszy.

Już z tego schematu widać, jak bardzo sporty są w Finlandji rozpowszechnione, skoro od 9-cio letnich dzieci można tam już wymagać pływania, wiosłowania, ślizgania się. Jakże minimalny odsetek dzieci mógłby u nas wykazać się temi umiejętnościami. Ze zna-

jomość narciarstwa figuruje na wszelkich schematach, nic dziwnego wobec tego, że jest ono traktowane tam raczej jako środek komunikacji, niż jako sport. Co do żądanych norm rzutów, biegów i skoków to dzieci w tym wieku, mając niekrępowaną jeszcze konwenansami swobodę biegania, skakania i t. p. „trenując” i u nas te rzeczy, tak że napewno normy te nie byłyby dla nich zbyt wysokie.

Inaczej rzecz się ma z wymaganiami, stawianymi starszym i młodzieży. O ile dla mężczyzny można uważać je za trudne, lecz nie niemożliwe, dla pań szczególnie po latach 30-tu, 35-ciu, dla naszego ogółu byłyby one wprost nieprawdopodobne.

Po próbach usprawnień wspólnych dla dzieci do lat 10-ciu względnie 11-tu schematy dla dziewcząt i dla chłopców są już trochę inne.

Dzielią się one na okresy od lat 11 — 15-tu, potem od 16 — 40-tu i powyżej lat 40 tu,

W tych okresach jednorazowe zdanie wszystkich wymaganych prób (czyli w ciągu jednego roku) daje prawo do odznaki brązowej, trzykrotne, a więc np. wykonanie tych samych ćwiczeń mając 16, 25, potem 35 i t. p. lat daje już prawo do odznaki srebrnej, a sześciokrotne do złotej,

Wiek późniejszy ma pewne przywileje, co jest prawdopodobnie wywołane tem, że system odznak od paru lat rozpowszechnił się szerzej i dużo jest osób, które mając wszelkie dane na zdobycie odznaki nie poddały się dotąd egzaminowi, a nie miałyby wprost czasu na kilkakrotne poddawanie się próbom.

I tak kobiety od 30 — 35 lat już po jednorazowym wykazaniu sprawności w przepisanych ćwiczeniach od razu dostają odznakę srebrną, stając do egzaminu po 35-ciu latach otrzymują od razu złotą, o którą młodsze, aż sześć razy muszą się ubiegać. Uważam takie postanowienie za bardzo słuszne, gdyż istotnie utrzymać poziom sprawności po latach trzydziestu kilku do 40 tu, a tem bardziej wzwyż jest naogół dla kobiety bardzo trudno. Macierzyństwo, wzrost tuszy, życie domowe, które uniemożliwia często zabiegi koło własnej osoby, sprawiają że przeciętna kobieta w tym wieku zapomina, że wogóle mogłaby się jeszcze gimnastykować, ślizgać lub pływać.

Szczegółowy schemat ćwiczeń dla poszczególnych sportów podamy w numerze następnym. I. F.



STRZAŁKI

SCENA PRAWDZIWA

Wyższa uczelnia. Sala przepełniona. Trzy piąte słuchaczy, dwie piąte słuchaczki. Profesor zaczyna wykład.

— Panowie, ostatnim razem omawialiśmy kwestję promieni X, które mają tę właściwość...

Jedna ze słuchaczek — zadzierzysta brunetka — wstaje. Oczy jej błyszczą. Ponsowe wargi drgają nieustępliwie.

— Panie profesorze, zwracam uwagę, że prócz słuchaczy są tutaj także i słuchaczki...

Profesor czerwienieje i zrywa się z katedry. Nie bardzo wie, co ma z sobą zrobić. Przebiega salę wszerz parę razy. Podchodzi do tablicy, chwytając kawał kredy, rzuca ją na ziemię, aż rozprysnęła się w drobne kawałki, kopie jej nogą. Zmarszczony brwi, szarpnąwszy wąs napastliwie, wraca na katedrę. Broda mu się trzęsie (sto obrotów na sekundę). Oczy biegają na prawo, na lewo, szukając punktu oparcia.

Jakiś służny student z pierwszej ławki wstaje, schyla się, zbiera z namaszczeniem kredowe drobinki i ostentacyjnie jak klejnot drogi, składa je na dolnym żyłobieniu tablicy.

Głucha cisza. Tylko drobny deszcz — niby skrzydła zaklętych w krople dżdżu jętek — łomocą o szyby okien.

Wtem twardy, tępy, jak stuk siekiery o twarde drzewo, najłagodniejszego zresztą zazwyczaj z profesorów:

— Więc — panowie i — na życzenie pani studentki...

Chór — „Wszystkich studentek...”

— Zatem — i na życzenie wszystkich pań studentek także:

— Panie...

Ostatnim razem omawialiśmy kwestję promieni X, które mają tę właściwość...

Wykład potoczył się w dalszym ciągu właściwym już biegiem. Głos najłagodniejszego z profesorów nabierał barwy i dźwięku stopniowo, aż wrócił do zwykłej normy. Jednak coś z przygody zostało.

Następna lekcja zaczęła się znowu od słów:

— Panowie i — na życzenie pań studentek — także, panie...

Wstęp dwupłciowy utarł się od tego czasu i trwa dotąd.

al.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY

„Niewinna Grzesznica” Komedja współczesna i wieczna w 3-ach aktach *Wacława Grubińskiego*. Dekoracje *Karola Frycza*. Reżyserował *Autor*.

Przez trzy akty komedji p. Grubińskiego aktorzy prowadzą po mistrzowsku dialog, mówią dużo o miłości, o przyjaźni i o życiu wogóle, uśmiechają się, jak ludzie, którzy są pewni wartości własnego dowcipu — a tymczasem wszystko, co tam słyszemy od początku do końca jest ani wesołe, ani dowcipne, tylko poprostu cyniczne.

W pierwszym akcie tonienimy w naperfumowanej sadzawce dystynkcji. Jesteśmy w dystygowanej sypialni, dystygowanej damy, która rozmawia z dystyngo-

wanym mężem. Mąż, oczywiście, jest [w jedwabnej pyjamie, a żona leży w łóżu (można wpaść w czarną melancholję na widok tego olbrzymiego sprzętu, który przypomina rozmiarami największy na świecie, pomalowany na niebiesko katafalk), je manderunki i szczebioce o miłości. Mąż, który rzecz jasna ma automobil i nosi monokl w prawym oku, wie, że żona jego ma kochanka, ale jako człowiek pełen dystynkcji i dużej inteligencji uważa to za rzecz oczywistą i całkowicie naturalną, co więcej: uważa siebie za człowieka wybitnie szczęśliwego, ponieważ „lepiej być zdradzonym mężem, niż zdradzonym kochankiem”. Autor chce, by publiczność uważała tę sytuację za wysoce interesującą. Ale nie na tem koniec. Nie dość jest mieć dystygowanego męża, którego się lubi i dystygowanego kochanka, którego się miłuje, to za mało; aby było jeszcze dowcipniej i jeszcze weselej — zjawia się na scenie pan trzeci i wygłasza tyradę na cześć „przygody”, która rządzi światem i jest jego ozdobą. Pan ów jest również w pyjamie, i choć nie nosi monokla, ale za to jest pełen polotu i fantazji życiowej, więc piękna dama, która znowu leży w łóżku, decyduje się prędko na zdradę męża i kochanka, aby triumfował przypadek i żeby było wygodnie.

Gdyby sztuka była oszałamiająco dowcipna, gdyby porywała werwą i wesołością, może... może moglibyśmy na chwilę zapomnieć o tym preparacie cynizmu i niemoralności — ale ani jeden naprawdę wesoły uśmiech nie zakłócił tego wylewu parwenjuszowskiej amoralności. To też gdy piękny pan Ryszard namawiał piękną panią Zuzę, by zdradziła z nim męża i kochanka ot tak, poprostu dla sportu, gdy wyciągnął argumenty — nietyle dowcipne — co niesmaczne, miało się poprostu ochotę, trawesując jego własne słowa, powiedzieć, że w tej sytuacji nie tyle zdegenerowanych bogów, ile zdegenerowanych orangutanów, można było dać na osłodę trochę więcej rzetelnego humoru. Można było zrobić to w imię dystynkcji, o której się tyle rozprawia w komedji Grubińskiego, i choć ręką dowcipu przykręć nędzę moralną, która wygląda z każdego kąta sceny. Rzecz oczywista, że komedja nie jest miejscem, gdzie się bierze lekcje cnoty i moralności i dokąd się chodzi z ciotkami na rozmyślanie wielkopostne, ale komedja, która jest mało dowcipna i źle zbudowana, jest równie przykrem zjawiskiem, jak źle zbudowana baletnica.

A jednak teatr jest przepełniony, komedja ma wyraźne powodzenie i długo zapewne będzie się trzymać na afiszu. Czyżby była aż tak bardzo współczesną sztuką — jak to autor podkreślił w tytule bo, że komedja taka jest wieczna, to nie ulega żadnej kwestji — albowiem po wieczne czasy będą się pojawiać komedje słabe.

p.

Z RUCHU
WYDAWNICZEGO

Firma wydawnicza „E. Wende i S.ka” wzbogaca naszą literaturę dalszemi przekładami Jacka Londona, pióra doskonałej tłumaczki St. Kuszelewskiej. Ukazały się w druku następujące utwory: „Odszczepienie”, „Przygody w zatoce San Francisco”, „Prawo białego człowieka”, „Odyseja Pótnocy” i „Wyga”.

Ostatniemi wydawnictwem z serii przekładów Conrada, dokonywanych przez najwybitniejszych naszych tłumaczy, jest utwór p. t. „W oczach Zachodu”.

Ponadto ukazały się jeszcze: zbiór nowel Maupassanta p. t. „Miłość”, A. Dygasińskiego o powieści „Z pod ciemnej gwiazdy” oraz komedia Magdaleny Samozwaniec „Malowana żona”.

* * *

Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska” wydał świeżo utwór Wł. Orkana „Kostka Napierski”, oraz dalsze edycje „Roman tycznych i dziwnych powieści” i „Po mlecznej drodze” K. Makuszyńskiego.

Dalsze tomiki „Wielkiej Biblioteki” stanowią: T. Lenartowicza „Lirenka” i Moljera „Tartuffe czyli świętószek”.

* * *

Ostatni (140-ty) numer „Przeglądu Warszawskiego” zawiera: St. Żeromskiego wspomnienia poświęcone o Marjanie Abramowiczu, w którym sylwetka zmarłego działacza i patrioty skreślona została z niezwykłą głębią uczucia i wyrazistością na tle owej strasznej epoki niewoli; dwa nieznanne listy Słowackiego do Krasińskiego, odnalezione i zaopatrzone komentarzem przez prof. J. Ujejskiego; Z. S. Zaleskiego wrażenia z podróży do Bourges; artykuł M. Handelsmana o „Najnowszych tendencjach nauki historycznej”; prześliczną nowelkę Zofii R. Nałkowskiej (z cyklu „Opowieści zwierzęcych”) p. t. „Diana”, utwory I. Ciesielskiego, B. Letura, Z. Kleszczyńskiego, Miscellanea, Kronika i t. d.

* * *

Stały wydawca dzieł Żeromskiego J. Mortkowicz, drukuje po „Przedwiośnie” najnowsze dzieło wielkiego pisarza — pełen głębokiego uczucia utwór sceniczny „Uciekla mi przepióreczka”.

* * *

Nakładem firmy wydawniczej „M. Arct” ukazały się następujące dzieła: St. Kazuro — „Co to jest solfegio” i „Nowe solfegio” — dwa podręczniki nauki śpiewu do użytku nauczycieli; Kołodziejczyk J. „Ćwiczenie z morfologii roślin”; obszernie dzieło dr. J. Siemiradzkiego „Podręcznik paleontologii do użytku szkół akademickich” wraz z atlasem; W. Szelażka „Powstanie styczniowe”, dwa ilustrowane dzieła o narciarstwie Ruthera w przekładzie Osmolskiego: „Jazda na nartach” i „Skoki narciarskie”, W. S. Jesienia „Słownik angielsko-polski”.

* * *

Numer świąteczny „Nowości Ilustrowanych” wyszedł w niezmiernie bogatej szacie. Poza licznym materiałem aktualnym w specjalnym dodatku zamieszczone są zdjęcia z „Ziemi świętej” i ostatnie nowości z teatrów polskich.

Bogato reprezentowany dział sztuki. Szereg nowel pióra wybitnych literatów, tudzież aktualnych artykułów z pod pióra znanych publicystów, szeroko traktowany dział mód, z uwzględnieniem ostatnich modeli paryskich — dopełnia obfitej treści numeru, o podwójnej objętości.

Starannie dobrany materiał beletrystyczny i bogaty dział rozrywkowy stanowią będzie miłą lekturę w czasie świąt.

P I S A N K I



Od półpościa, które niby hymnem radosnym, uderza w drzwi naszych domostw skorupami garnków, przepalonymi żarówkami i szeregiem podobnych posłanników, świadczących o sile zwyczaj, czas leci jak na skrzydłach, a dzień za dniem oddala nas od rozpamiętywania minionych rozkoszy karnawału, wiodąc radośnie, ku uśmiechniętej, słonecznej, budzącej się wiosnie.

Wielkanoc, pełna tradycji i wspomnień, należy do świąt, najzabiegliwszych dla domów, które mogą sobie dziś jeszcze pozwolić na wielki zbytek, jakim jest hołdowanie zwyczajom.

Poczesne miejsce, miejsce nie ustępujące nawet barankowi z cukru, masła lub skromnego krochmalu, zajmuje w korowodzie zrosniętych nierozzerwalnie z Wielkanocą tradycji — pisanka.

Pisanka, kraszanka, czyli wzorzyćcie barwione jajko wielkanocne — sięga czasów bardzo odległych, spotykamy się z nią już w kronikach wieku XIII, a jak to z literatury wywnioskować można, w sztuce tej przodowała Małopolska i Polesie.

Pisanki są poważnym odłamem sztuki ludowej, a wzory jakie na nich spotykamy, swoistością swoją ciekawe i oryginalne, łatwo mogą służyć za pierwowzór do haftów, tak w dzisiejszej modzie wszechwładnych.

Z pisanką wiąże się cały szereg, uświęconych wiekami zwyczajów.

W staropolskich czasach znana była zabawa „w bitki”, uderzano pisankami jedną o drugą, a stłuczone jajko przechodziło do rąk przeciwnika. Z tradycyjnej tej igraszki wyrodził się obchód, który w Krakowie przetrwał wieki.

W trzecie święto czyli wtorek po Wielkanocy, ze wzgórza przy mogile Krakusa, na Krzemionkach, rzucają biednym chleb, bułki i jaja wielkanocne. Każda niemal okolica, każdy zakątek kraju przechował jakiś zwyczaj z tradycją związany i do dziś mu hołduje.

Na Kujawach, w Przewodnią Niedzielę, dziewczyna musi ofiarować kilka, kilkanaście, lub nawet kopę

pisane (zależnie od zamożności) temu chłopakowi, który ją w drugi dzień świąt oblał wodą, a oblać ją ma prawo ten tylko, kto za pomocą tradycyjnej śpiewki, wyśpiewanej w pobliżu jej chaty uprzedził ją o tem w pierwsze święto wieczorem.

Chłopak w zamian za to jest obowiązany w Zielone Świątki ofiarować jej piękny prezent.

W sztuce „pisania” jajek przodują kobiety i dziewczęta wiejskie. Zdarzało mi się, na Podlasiu, widzieć tak artystyczne pisanki, jakich nie powstydziliby się żadne Muzeum Polskie. Robione były sposobami domowymi i dla każdej z nas dostępnymi. Zasady są te same, co przy batikowaniu, a zatem pokrywanie woskiem najpierw miejsc, które mają pozostać białe, następnie zanurzanie w farbie — poczem wypisywanie nowych de-

szczych, pamiętając, że w jajkach pisanych systemem barwnych kąpiel przychodzi farba, na farbę, a zatem jeden kolor musi z łatwością przyjmować drugi.

Jeżeli kobiety wiejskie dochodzą do tak bajecznych rezultatów, posilując się jedynie farbami, osiągniętymi przemysłem domowym, farbami z malwy, kory jabłoni, ziarn słonecznikowych, cebuli, jagód, bzu dzikiego etc. jakież arcydzieła możemy tworzyć same, rozporządzając całym szeregiem wynalazków z dziedziny farbiarstwa.

Pisanka — jako wytwór sztuki czysto polskiej, ciekawą może być dla szerokich mas interesujących się sztuką ludową — winna też przemówić nie tylko do polskich oczu i wyobraźni, ale wydstać się i po za granicę kraju, aby świadczyć sobą o poziomie chaty polskiej, która jest jej kolebką.

Narodowa Organizacja Kobiet urządza w Poznaniu wystawę pisane, starając się zgromadzić okazy o wszelkich typach, z różnych zakątków kraju.

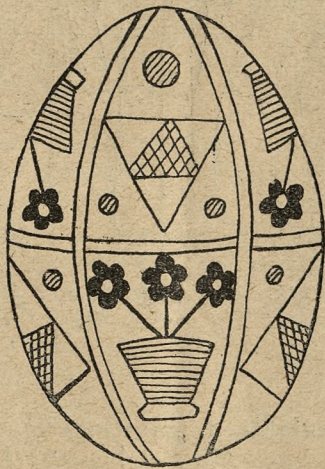
Wystawa ta ciekawą będzie dla wszystkich, interesujących się motywami ludowymi i tak ściśle z nimi związaną sztuką stosowaną.

Pisanka nasuwa nam przed oczy cały szereg jaj wielkanocnych — z cukru, czekolady, tektury, porcelany, materji i t. p. Związany jest z nimi śliczny zwyczaj, który króluje w świątku dziecięcym Francji.

Małeńkie, czekoladowe jajeczka, misternie w lśniący, różnobarwny papier owijane — rozsiewa się po całym ogrodzie, kryjąc w krzakach i kwiatach; dzieci, ubiegając się za zdobycz, wynajdują je z okrzykami radości i zachwytu, a śmiechem i zabawie niema końca.

Ze zwyczajem tym spotkałam się jeszcze przed wojną, spędzając Wielkanocne Święta nad brzegiem Śródziemnego morza. Rozległy ogród hotelowy spadał tarasami do morza, a bogactwo zieleni, piasek i kamienie wybrzeża, stwarzały idealny teren dla tajemniczych kryjówek.

To też śmiechy i gonitwy trwały całe rano. Roztrzęsione loki, rumiane buziaki i grające jasnością



seni woskowych, powtórne zanurzenie w kolorze odmiennym i tak dalej i dalej, dopóki jednolita powierzchnia skorupki nie zmieni się pod artystyczną ręką, w bajeczną grę barw i linii. Kąpiel zaczynać trzeba od farb jaśniejszych, przechodząc stopniowo, do ciemniej-

Nr. 1 2, 3 i 4 pisanki wykonane w ziemi radomskiej, lubelskiej i w Małopolsce.

Nr. 5 i 6 na Podolu.

Nr. 7 i 8 na Wołyniu.

Nr. 9 — pisanka huculska.

zapożyczoną od cudnego słońca, żrenice dziecięce, świadczyły, aż nadto o wielkiej pełnej zapamiętania szczęśliwości, w jakiej kąpały się duszyczki ich, dzięki prostemu zwyczajowi, tak dobrze i mądrze dostosowanemu do skali dziecięcej

wyobraźni. Zwyczaj ten zastosowany u nas będzie, bezwątpienia przyjęty radośnie.

Główka młodego obywatela Francji, któremu czuprynkę w długie skręcono papiloty, pławiąc się w słońcu południa żyje tą samą

siłą snów i wyobraźni, co młodociany umysł naszych dzieci, chociaż im kolebką nie była jasność i kwiecie, a siła radości, siła tęsknoty za bajką, wcieloną w życie, w każdej dziecięcej duszyczce jest jednaka.

L I S T Z P A R Y Ż A

„Przedwiośnie... — Zaledwie kilka słonecznych promieni ożywia dżdżyste naogół dnie; wieczory wciąż jeszcze chłodne, zimowe, a pomimo to ulica już tchnie wiosną i przyjmuje swój specyficzny wygląd.

Kobiety zdają się młodsze i wysmuklejsze niż kiedykolwiek i mają w całej sylwetce coś niewymuszonego, coś sportowego co mile uderza oko i podoba się bezwzględnie.

W miarę tego, jak wzrok nasz przyswaja sobie modną sylwetkę, ucho przyzwyczaja się do nazwy zarzuconej od wieku prawie, tak zwanej „redingote”. — Tak jest „redingote”, czyli surdut, śmieszny trochę na starych fotografiach, a dziś tak modny, tak ponętny, wprost czarujący.

To klasyczne palto jest tak praktycznym okryciem, że dziś staje się prawie niezbędnym i nie ma wśród nas takiej, któraby o niem nie marzyła. W zastosowaniu codziennym oddaje prawdziwe usługi, bo nosi się je z równym efektem do rozmaitych odmian, czy to z suknią „chemisier” z cieniutkiej wełny, albo „crêpe de chine”, czy ze spódnicą z tegoż co i palto materiału, i z jakąkolwiek bluzką. Rewery przy palcie po męsku wykończone, krzyżują się dosyć wysoko, uwydatniając jednak szyję, obciśniętą szykownie szale, związanym na sposób „cravate de chasse”. Materiały są podobne pod względem tkaniny i wytrzymałości do grubych angielskich „homespun”; nadają się bardzo na „redingote” prawdziwie praktyczne i eleganckie.

„Redingote”, będąc okryciem bardzo prostym w linii, z materiału najczęściej suchego, wymaga natomiast pierwszorzędного kroju, wykończenia bez zarzutu i roboty męskiej, krawieckiej.

Wszelka fantazja na temat przybrania, byłaby w tym wypadku zupełnie niewłaściwa. Pozatem widzimy dużo kolorów w tonach, przeważnie pastelowych: szary, beże, „violine”, brique” i t. d... Wszelkie modne obecnie wełny są mieszane (chiné) — efekt, który

otrzymuje się przez połączenie nitki białej z jakąkolwiek kolorową, w stosunku do przewagi koloru, który powinien wyjść z fabrykacji. Na tem tle widzimy najrozmaitsze fantazje w desenie, nie przekraczające jednak nigdy pomysłów w tkaninach na kostjумы męskie.

Materiał zwany „kasha” jest również modny na „redingote”. W naturalnym kolorze nitki, daje on modele klasyczne, pełne szyku i elegancji.

Jeżeli chcesz iść za moją radą, miła Czytelniczko, rekomenduję Ci bardzo „redingote” z przodami, zachodzącymi jeden na drugi, z krytą



kontrafałdą i „martingale” z tyłu; całość zapięta na 4 guzy. (rys. 1).

Zrobione przez znawcę, okrycie to ma niezaprzeczony wdzięk i jest ostatnim wyrazem mody.

Pewna część młodych i eleganckich Paryżanek wypowiada się za odmianą „redingote” z jednym guzikiem na przodzie i bez paska. W tym wypadku „redingote” będzie trochę wcięta, co jej nada charakter palta z czasów Dyrektorjatu. (rys. 2).

Jeżeli, miła Czytelniczko, jesteś w zasadzie przeciwną okryciu zupełnie prostemu, mam w repertuarze dzisiejszego sezonu inny model, który zwrócił moją uwagę

w kilku najlepszych salonach mó Trzeba uciąć na wysokości kolan, z przodu lekko kłoszową baskinę z dwoma krytymi kontrafałdami na bokach (rys 3).

Takie palto będzie mniej sztywne, nie tracąc charakteru męskiej, krawieckiej roboty.

Żeby wreszcie pogłębić tak aktualną sprawę, jaką w tej chwili, jest „redingote”, uważam sobie za miły obowiązek dodać słów kilka o niezbędnych akcesoriach tego okrycia. A więc przedewszystkiem kapelusze. Wciąż małe i bez przybrania, naśladujące rosyjski kołpak, albo też „cloche” podniesiony z tyłu. Są one filcowe w najrozmaitszych kolorach, albo z angielskiej cieniutkiej słomki („picot”).

Rękawiczki zamszowe dobiera się w kolorze do pantofli i woreczka. Co do pantofli, noszone są bardzo beże, brązowe, lub z prawdziwej krokodylej skóry. Chyba, że jesteś, miła Czytelniczko, specjalną zwolenniczką małych, plecionych ręcznie pantofelków, które powinny właściwie figurować w całokształcie toalety modnej pani. A teraz fulary na szyję — kwestja niemałej wagi, pole popisu i współzawodnictwa na temat przeróżnych fantazji — czasem bardzo udanych, często zupełnie chybionych. Zostawmy amatorom modernizmu modele o wzorach drukowanych, a raczej idźmy za wskazówką, która prowadzi do pewnych rezultatów. Domyślasz się, miła Czytelniczko, że mam na myśli gładki, duży szal, z grubego „crêpe de chine” w kolorach które przypadają Ci do gustu: biały, beże, niebieski pastelowy i t. p. Dyskretny monogram gdzieś w rogu wystarcza za wszelkie wzorzyste kombinacje. Ręczyć z góry mogę, że w tym wypadku będziesz zawsze szykowną, zawsze dystygowaną, zawsze na miejscu, z tej prostej racji, że spokój w toalecie odpowiada odwiecznej zasadzie skromności i finezji, która zawsze dawała i dawać będzie szanującej się Paryżance specjalny „prestige” wśród kobiet wszystkich krajów.

Sekwa.

PIĘCDZIESIĄT LAT KAPELUSZA



1875 r.



1885 r.



1885 r.



1895 r.

Dla kobiety kapelusz jest łodzią, w której najłatwiej jej wpłynąć na zmienne fale serca — ale może też być czółnem, w którym milczący Charon przewozi ją na drugi brzeg — zapomnienia. Wytrawne mistrzynie w sztuce powodzenia towarzyskiego i życiowego dobierają sobie kapelusze tak, jak doświadczony admirał dobiera sobie pancerniki i krążowniki przed walną bitwą morską. Ktoż może jednak przewidzieć, jakie miny kryje podstępna rywalka i czy puszczoną w porę zabójczą torpedą jakiejś niesłychanej kreacji nie zniweczy wszystkich planów admiralicji nieprzyjacielskiej?

Co kilka lat zmieniają się systemy uzbrojenia, przekształca się ewolucyjnie lub rewolucyjnie syl-

wetka kobieca, a wraz z nią wieńczący ją dumnie „kapitel.”

Dokument niezbity, choć dyskretnie milczący, że kobieta ma głowę i to nie do pozłoty.

Rzućmy okiem wstecz i zobaczmy, jak to zadanie wypełniał kapelusz przez ostatnie półwiecze.

Leży przede mną stary żurnal z roku Pańskiego 1875. Kapelusz nie osiągnął tu jeszcze należytej autonomii. Ulega wszechwładnej supremacji fryzury bujnej, starannej, a jednak niepozabawionej swoistego wdzięku pewnego świadomego, artystycznego zaniedbania.

Kapelusz drobny, podobny do cacka, bynajmniej nie kusi się o zakrycie i ochronę głowy, — właściwie mu tego robić nie wolno. Istnieje tylko po to, aby uzupełnić i podkreślić te wszystkie, opadające na plecy pukle i sploty, te wijące się za uszami loki, te lekko opływające głowę fale włosów, te figlarnie zakręcone na czole kosmyczki.

Kapelusz to tylko nieco zmieniona girlanda z kwiatów, wstążek, piór strusich, girlanda, harmonijnie łącząca się z tyłu głowy w jedną całość z kaskadą umiejętnie ułożonych włosów.

Idźmy dalej. Rok 1885. Loki i pukle podwinięto do góry. Girlanda niezabudek, róż lub polnych margerytek, ostatnie echo spóźnionego romantyzmu zatracą rację bytu. Kapelusz rośnie stożkowato i nasuwa się na przód czaszki. Zapanowuje brzydka forma głowy

cukru, z małym rondkiem.

I jeszcze jeden dziwoląg, z dolny z najwdzięczniejszej kobietki zrobić typ kabalarki. To podwiązana pod brodę kapotka. Naczynie

dziwnego nabożeństwa, którym jeszcze po dziś dzień w bardzo zapadłych miasteczkach bardzo stare i bardzo konserwatywne majstrowe płoszą wróble na rynku w dzień wielkiego święta, lub dorocznego jarmarku. Dawniej przywdziewały ją pono nawet młode mężatki. Był to sui generis symbol cnoty i wierności małżeńskiej. Czy temu symbolowi zawsze odpowiadała rzeczywistość, niech rozstrzygnie „Madame Bovary” Flauberta. My na tę kwestję zapuścmy zasłonę.

Rok 1895. Niema kapelusza. Jest tylko jego symulacja. Jakaś mu-



1905 r.



1905 r.

szelka do mózdzku, wypełniona sałatką z kwiatów i wstążek zmiętoszonych, — jakiś wafelek z zamrożoną różą, jakiś mniej lub więcej mitologiczny ptaszek, wpięty w puszyste uczesanie, jakiś listek figowy, drogą tajemnych skojarzeń czy nieporozumień pozytywistycznych zabłąkany z muzealnego posągu na główkę modnej damy, zamkniętej jak lampa naftowa w kłoszowej spódnicy i w wydętych balonach rękawów „gigot.”

Schyłek wieku 19-ego, zaranie 20-ego przynosi zasadniczą zmianę. Wraz z pierwszą rewolucją rosyjską 1905 r., kapelusz upomina się o swoje prawa. Żąda autonomii. Przychodzi i dla niego „godzina zapłaty.” Wyzwała się radykalnie z pod supremacji głowy. Głowa sobie, on sobie. Wszystko do góry i wszystko naprzód, Może być nawet i do góry nogami. Na włosach kunsztownie spiętrzonych, podpartych całem ryszowaniem z krepiny i szpilek, wielokrotnie pomnożonych przypinaniami „postiszami”, loczkami, grzywkami unosi się, nie spoczywa, konstrukcja zgoła irracjonalna, z głową związana przypadkowo, nie-az idąca na przekór jej naturalnemu kształtowi i przyrodzonym upodobaniom. Boże uchoj, żeby ten kapelusz na głowie „siedział,” on z niej ulata za najlżejszym powiewem wiatru, przypomina ową nieszczęsną ś. p. równowagę europejską, która z lada powodu mogła być zachwiana.

Kapelusz z r. 1905 to wcielenie dynamiki, nie statyki. To aeroplan



1912 r.



1913 r.

na chwilę przed wzlotem. Te wszystkie powyginane salaterki pełne ogrodowizn, te kosze kwiatów, te rogi obfitości, z których sypą się dżety, zwoje materji, wężowiska wstążek, te przekładańce z tiulu i aksamitu, te fragmenty gabinetów zoologicznych z powypychanymi ciałami ptaków i zwierząt, te przenośne gablotki z okazami fauny i flory wszystkich kontynentów oraz próbki przemysłu swojskiego i zagranicznego, już wówczas, nawet, gdy jeszcze były modne, wprowadzały widza w stan chorobliwego niepokoju i oczekiwania.

„Kiedyż on nareszcie poleci sobie do dj-bła?” — myślał przeciętny śmiertelnik, patrząc na modnie kołyszący się na głowie wykwintnej damy tort z piramidą. W tej epoce królowa ozdoby i długie szpilki do kapelusza i woalki, — szkodliwe i mniej szkodliwe fikcje, które pod brio miały zachować w całości ów skomplikowany aparat, jakim była głowa kobiety przed laty dwudziestu. Niestety, trudno go

było nazwać aparatem myślowym.

Zanim dzięki ustawicznemu jego stosowaniu ówczesne elegantki zdążyły kompletnie wyłysieć, moda się zmieniła. Bo wiem nawet kapelusze z czasem spuszczały z tonu. Po upływie kilku lat opadły im nieco skrzydła. Kapelusz z czubka głowy zjeżdża na potylicę. Wymęczone dostatecznie włosy zaczynają odpoczywać w puszystych niobach, ujmujących owal twarzy w ciemniejszą ramkę i opadającą na karku lekko związanym węzłem, stanowiącym doskonały fundament dla kapelusza. Wydużył się on na kształt łodzi z rozwianymi żaglami piór, rozpostarł szerokie rondo, tworząc malarskie tło dla twarzy, miękko, serdecznie i ciepło otulił głowę zwojami futrzanego toku, wogóle usadowił się głębiej i powoli zaczął rezygnować z wymysłnych podpórek podkładek i podwójnych fałszywych główek.

Rok 1912. Rocznicą Napoleońska powiała po tym zamęcie kształtów uzdrawiającym echem tricornu i Muratowskiego pióropusza. Kapelusz zrezygnował ze swych pretensyj autonomicznych. Niekiedy staje się nawet prawdziwą ozdobą głowy kobiecej.

A potem jest wojna. Królujcie czepek siostry miłosierdzia, później nieco furażerka we wszystkich odzieniach szaro-zielonego koloru, koloru pól bitewnych. Ta furażerka, co była nieraz jedynym patentem na służbę Ojczyźnie, a tak często jeszcze jednym środkiem



1924 r.



1925 r.

upiększającym w toalecie wabnej kobiety, która musiała być aktualną, aby nie przestać być interesującą.

Koniec wojny połowicznie zgilotynował kobiety: zabrał jej czoło. Najprzód przez osłonięcie go grzywką, potem przez nasunięcie kapelusza aż na oczy.

Dzisiejszy kapelusz coraz to mniejszy, coraz bardziej obcisłający skronie nie tworzy już tła dla twarzy, ale dla ust. Nietylko czoło i brwi, ale nawet oczy, gwiazdy oblicza, znikają pod tym gasicielem, jakim jest dzisiejszy kapelusz—naparstek. Włosów nie widać, każą się ich istnienia domyślać tylko loczki, które zresztą mogą być przypinane i każdorazowo przystosowane do barwy kapelusza.

Zamiast oczu, zgaszonych w cień, para błyszczących kolczyków, nisko zwisających na szyję. Na pierwszy plan wysuwają się usta, rubinowo wykarminowane. One dziś zastępują oczy i uszy, one widzą, słyszą, czują i... wabia. Skończyło się panowanie powłóczystych spojrzeń. Zrenice kobiece są w pogardzie. Czołem przed ustami! One lepiej i wprawniej umieją kłamać, niż oczy.

Kapelusz dzisiejszy czyni kobietę „bezczelną”, nie daje jej tła, ale stwarza mnóstwo możliwości i pozwala ginać w tłumie. *Signum temporis*. Gdzie te Rembrandty, te Gainsboroughy, te tricorny, te pasterki florenckie, te stylowe lub fantazyjne berety, które tak indywiduowały typy urody kobiecej? Ha, trudno! Żyjemy w epoce uniwersalizmu. Wszystko się pozornie upraszcza, redukuje, demokratyzuje. Pozornie. Pod jednakowymi kociołkami i naparstkami kipią i fermentują zaczyny nieznanej przyszłości.

Trzeba czasami przejść przez szablon, aby dojrzeć do indywidualizacji.

Spero.

Z ŻYCIA STOLICY

W drugiej połowie postu odbył się śliczny raut „Białego Krzyża” pod nazwą „Karczma na rozdrożu”. Sala Resursy Obywatelskiej była udekorowana jak wnętrze starej karczmy. Na ścianach widniały wspaniałe szynki — z „papiermaché” — w których z przyjemnością poznałam stare znajome z „pasztecziarni Raguenu” uprzejmie pożyczone przez dyrektora Szyfmana. Za wspaniałym szynkwasem, zdobnym w torty, pomarańcze i dwie imponujące baryłki piwa,

królowała pani Ordon-Sosnowska w malowniczym stroju panny młodej z krakowskiego wesela. Inne panie były również poprzebierane za Krakowianki, Łowiczanki i t. p. żadnej jednak nie było w tym stroju tak do twarzy jak pani Ordon Sosnowskiej, która posiada niezmiernie rzadki dar wyglądu zarazem i bardzo po wiejsku i bardzo okazałe. Strój ludowy jest bardzo trudny do noszenia, niektóre panie wyglądają w nim skrępowane i zbyt rażąco „przebrane”, inne zaś wydają się po raz pierwszy w życiu ubrane właściwie, to znaczy, że strój uwydatnia w całej pełni gminność ich powierzchowności. Nie opisuję poszczególnych kostiumów. Zatrzymam się tylko z prawdziwą satysfakcją na tualecie redaktorowej Cz. Był to prześliczny kostium mieszczy z XVIII wieku. Jaki? zawołają ze zdziwieniem, niektóre Czytelniczki, przecież w osiemnastym wieku były tylko margrabiny i pasterki i to nie wiadomo na czym polegała między nimi różnica. Otóż mylicie się moje panie, a trzeci stan, który dał początek „Wielkiej rewolucji” i z którego pochodziła znakomita pani Roland? Panowie z trzeciego stanu nosili czarne pantofle ze stalowymi klamrami, z których się śmieli dworacy — dopóki im głoty na nie skosiła pudrowanych głów. Wybacz mi, Czytelniczko tę krótką dywersję historyczno-kostjumową, możesz zresztą z niej zrobić z powodzeniem użytek w salonie. Niestety w dzisiejszych czasach możesz z pewnością liczyć na to, iż przygodny sąsiad przy kolacji wie o tem jeszcze mniej od Ciebie.

Przepraszam! Już opisuję kostjum pani Cz. Istne cacko: szeroko marszczona spódnica, z oliwkowego jedwabiu, na niej barwny szlak z kwiatów ręcznie malowanych. Gorset z brunatnego aksamitu, białe bufaste rękawy, sztywno krochmalone, fachu i fartuszek z blade-różowego jedwabiu i czepiec. Nie czepiec, ale istne arcydzieło z białej i różowej organdy. Jaka szkoda, że nie mogę Ci go pokazać miła Czytelniczko! Ale pójdź do teatru Polskiego na „Djabla i karczmę” a tam zobaczysz wszelkie możliwe odmiany kostiumów z tej epoki, jedne ładniejsze od drugich.

W. L.



Zasady życia towarzyskiego

Nowe czasy—nowi ludzie—nowe zwyczaje, kazały pogardliwie traktować przeszłość i jej kulturalne dorobki, przesadami obecnie zwane. To zdanie jednak, coraz częściej okazuje się tem, czem jest istotnie: zielonemi winogronami z bajki Lafontaine'a.

Współżycie z ludźmi jest wielką sztuką, a utrzymanie stosunków, trudniejsze o wiele niż ich zawiązanie. Jak mało osób może się pochwalić, że przez cały szereg lat umiały nie zerwać nitek i nitczek, łączących ich od ławki szkolnej z wieloma osobami. Sztuka ta, posiadana niestety bardzo rzadko, jest darem, stwarzającym nam stosunki nietylko miłe towarzysko, ale bezcenne w życiu całym. Prędeż się obejść można bez pieniędzy, jak bez ludzi i ich życzliwości, na to jednak aby ją posiadać, trzeba nietylko zasługiwać na nią, trzeba jeszcze umieć ją zdobyć!

Jak często zdarza mi się słyszeć obecnie narzekania na trudne warunki obcowania z ludźmi, stworzenia sobie miłego kółka, w którym znaleźć by można rozrywkę, przyjemne wytchnienie po gorączkowej pracy, wymianę myśli a nie raz nawet życziwą radę i pomoc. I wtedy, ludzie dzisiejsi, z dzieciństwa pamiętający inne stosunki i bezwiednie tęskniący za nimi, z żalem mówią „dawniej było inaczej.” Nie zastanawiają się, że chociaż sami są apostołami postępu, lekceważącego wszelkie formy przez nich przesadami zwane to jedno słowo „dawniej” tęsknie wymówione, dowodzi, jak bardzo potrzebne są nam pewne przepisy, pewien, że tak powiem, regulamin we współżyciu z ludźmi. Nie uznaję przesądów krępujących śmiesznie swobodę, uważam jednak za podstawę wzajemnych stosunków dobre wychowanie i znajomość niezbędnych zwyczajów towarzyskich.

W epoce wojny i wywołanych nią przewrotów, wobec grozy śmierci, błahostki *savoir-vivre'u* śmieszni się wydawały. Koleżeństwo na placu boju i w okopach, w których jedni walczyli, a drugie ratunek pod różnemi postaciami im niosły, zatarło pojęcie o formach obowiązujących w normalnych warunkach życia. Czas powrócić do nich, czas skasować gorszące nie raz wybryki zbyt swobodnej, ograniczając koniecznymi formami towarzyskimi tych, którzy z różnych powodów nie znają przepisów uznanych na całym świecie przez ludzi kulturalnych.

Przodować w tem musi kobieta. Swoim taktem i przykładem dopełnić winna to, na co mężczyźni brak czasu, a często i chęci, bo obecnie ludzie w niczem się krępować nie umieją.

Najważniejszym sposobem stworzenia sobie stosunków, jest umiejętność składania koniecznych wizyt w odpowiedniej formie i porze, tak aby nikomu nie uchybić i nikogo nie obrazić. Nie za długo i nie za krótko, nie za często i nie za rzadko odwiedzać znajomych, uczy czasem wrodzony takt, zawsze—nabyte doświadczenie. Wizyty są rozmaite: urzędowe, (na te każdy kraj ma swój specjalny regulamin) etykietałne, te które wypadają złożyć z kondolencji, z pożegnaniem czy przywitaniem, noworoczne i świąteczne, na koniec bezceremonjalne, serdeczne.

Wizyty etykietałne, tak w stolicy, jak i w każdym choćby najmniejszym miasteczku, składają sobie miejscowe władze, a więc wojskowi jednego pułku, sędownicy jednego okręgu, urzędnicy jednego ministerstwa i ich żony. Obowiązki są one w dni uroczyste, z okazji wydarzeń państwowych, lub osobistych wypadków rodzinnych przełożonych, którym chce się dać dowód pamięci lub współczucia. Tego rodzaju wizyty dopóki nie zmieniają się na zażyłsze i serdeczniejsze muszą trwać bardzo krótko, jednakże nie tak krótko, aby śmiesznem było żegnanie się natychmiast po przywitaniu. Nie można narazić się na odczucie, że gospodarze i goście nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Kwadrans wystarczy w zupełności na powiedzenie kilku zgrabnych słów, kilku ogólników, nie można bowiem poruszać kwestyj przekonań i wydarzeń osobistych. Takie wizyty oddaje się w ciągu ośmiu dni. Jeżeli przełożony bez poważnej przyczyny, którą stanowi choroba, obowiązkowy wyjazd, lub nieszczęście w rodzinie — uchybi tym przepisom, podwładny, oczekujący jego rewizyty słusznie czuć się będzie urażonym. To też trzeba wytłumaczyć mu przyczynę opóźnienia, bo nic tak nie wyrabia sympatii i popularności, jak grzeczność i uprzejmość zwierzchnika.

Miedzy wizytami jakie wypadają składać, jednemi z najważniejszych są odwiedziny chorych. O ile choroba jest ciężka—składa się tylko bilet. Kiedy chory lub chora wracają do zdrowia, a należą do bliżej nam znanych osób, odwiedzamy ich w godzinach, w których nie zrobimy różnicy — staramy się o ile nas na to stać, sprawić im przyjemność jakąś drobnostką,

kwiatkiem lub książką. a przede wszystkim miłym i dobrem słowem i delikatnem odczuciem ich cierpienia. Otoczeniu chorego, często bardziej pożałowania godnemu niż sam chory, wyświadczamy jakąś uprzejmość—ofiarujemy nasze usługi w załatwianiu interesów po za domem. Te odwiedziny powinny też trwać krótko i zostawić serdeczne wspomnienie. O ile w domu chorego jest telefon, a zażyłość nasza na to pozwala, możemy telefonicznie dowiadywać się o jego zdrowie, uważając jednak, aby dzwonić w godzinach właściwych.

Pora wizyty kondolencyjnej, zależy od stopnia zażyłości z osobą, którą spotkała strata kogoś drogiego, lub nieszczęście. W każdym razie w przeciągu 6-ciu tygodni należy złożyć dowód współczucia i pamięci. Nie mówię tu naturalnie o bliskich i serdecznych znajomych, gdzie należy natychmiast pospieścić do domu dotkniętego smutkiem, lub żałobą. Na takich wizytach trzeba uważać, aby nie urazić osób, które się odwiedzają, zbyt jasnym strojem lub wesołą rozmową, a także dopytywaniem się o szczegóły choroby i śmierci osoby, którą straciły.

Wizyty noworoczne składa się obecnie tylko władzom swoim bezpośrednim, lub też władzom i dostojnikom państwowym, w zamian za życzenia znajomym składa się jakąś sumę na cel społeczny lub dobroczynny, ale i ten zwyczaj, zupełnie słusznie, zamiera. Rodzicom i najbliższej rodzinie składa się osobiste życzenia, do serdecznych znajomych można telefonować, lub napisać, aby nie ominąć sposobności dania im dowodu pamięci.

Co do świątecznych wizyt, te wyszły już zupełnie ze zwyczaju, dziś kiedy wszyscy mają zaledwie na codzienne potrzeby, nikt prawie nie urządza zbytkownych świąt — a przecież na jedzeniu głównie zasadzały się zawsze świąteczne wizyty! Kto jednak może chociaż skromnie przyjąć, a chce mu się zadać sobie ten trud, niech pamięta stare, zawsze jednak na czasie, przysłowie: „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą”. Czapka—to umiejętność postępowania, papka—ugoszczenie, sól—ciągłość stosunków.

Wizyty z podziękowaniem za przyjęcia, wskutek braku tychże, z konieczności wychodzą ze zwyczaju: jeżeli jednak, zwłaszcza młodzi ludzie, są proszeni do domu rodzinnego na zebranie, w najbliższą niedzielę powinni złożyć wizytę.

Takich wizyt nie oddaje się. Wystarczy, jeżeli gospodarstwo, chcąc, aby młody człowiek został bywalcem ich domu, polecą się jego pamięci, nadmienając w które dni przyjmują. Domy rodzinne, w których pan i pani domu, zajęci pracą biurową lub społeczną, mało mają czasu na życie towarzyskie, mogą telefonicznie zrecznie wyrazić swoją wdzięczność za miłe przyjęcie, lub pod bagatelnym pretekstem, napisać uprzejmych słów parę, na które nie trzeba odpowiadać.

(d. c. n.)

J. S.

WIOSENNE KŁOPOTY Z FUTRAMI

W najczystsiej utrzymywanych mieszkaniach, wiosną, w marcu już zaczynają fruwać najgorsze szkodniki — móle. Chłodne wieczory nie pozwalają jeszcze zupełnie zapakować futer, resztą obecnie moda, a nawet co więcej wygoda każe całe lato nosić etole, szale, peleryny, a nawet całe lżejsze i bardziej eleganckie okrycia futrzane — krety, lutry, gronostaje. Chodzi więc o to, aby te nasze, nie w przenośni już, lecz dosłownie — skarby, zabezpieczyć przed żarłocznością móli. Najgorsze jest to, że na razie nic nie widać groźnego, na futrze niema śladu, że mól usiadł i złożył swe jajeczka, a kiedy włos z futra zaczyna się sypać, a nawet wypadać kawałkami, jest już na ratunek za późno. Dwa są sposoby oczyszczenia mechanicznego futer — trzepanie i czesanie.

Pierwsze należy skutecznie wiosną co tydzień, kładąc futra na równym stole, o ile można na powietrzu, uderzając je raz po razie cienką, długą trzcina, gdy się tak całe wybije, strzepuje się je w powietrzu i wiesza na godzin parę w cieniu, (w mieście na balkonie). Powtarzając starannie tę manipulację, nawiasem mówiąc nie tylko nie niszczącą futra, lecz wracającą mu puszystość, ochraniajmy je od zahodowania się w nich liszek molowych. Do czesania futer służą grzebienie metalowe, specjalnie w tym celu wyrabiane. Jedne o dłuższych zębach do lisów, skunksów i innych futer o długim włosie, drugie o krótkich, gęstych ząbkach, osadzonych w wysokiej oprawie, specjalnie do lutrów, kretów, szenszylly, gronostajów i ich tak licznych, królikowych imitacji. W mieście można oczywiście futra oddać wiosną do wyczesania, do kuśnierza, panie ze

wsi dobrze jednak zrobić, zaopatrując się w takie grzebienie. Poza jajeczkami moli i kurzu, które taki grzebień usuwa, rozczesują one zbite w drobne kłaczki miejsca i wracają futerkiem, (kretom specjalnie) puszystość. Czesać należy raz z włosom, drugi raz przeciw włosom, poczem futra wytrzeć, wybić trzciną i raz jeszcze wytrzeć. Wytrzymane futra ułożyć lekko, aby się nie gniotły, do jakiejś szczelnie zamykającej się walizki, owijając je starannie kawałkami płótna, (gronostaje szafirowym lub czarnym materiałem, lub chociaż niebrudzącym papierem, chroni je to od żółknięcia) i przekładając liściem paczuli. Zapach tych liści odstrasza mole, jest przyjemny i trwale dosyć przejmie futra. Kto może sobie na to pozwolić, niech kupi hermetyczny worek gumowy, specjalnie w tym celu wyrabiany, i trzyma w nim futra. Mówię tu o przedmiotach, które stałe chcemy mieć pod ręką przez wiosnę i lato. Większe sztuki, oczyszczone tak samo, należy przesypać, nie naftaliną, o tak przykrym zapachu i podobno nawet źle na trwałość włosów w futrach wpływającą, lecz liśćmi prostego tytoniu, (machorki) pozawijając szczelnie każdą sztukę w prześcieradła i przechowywać w kufrach, (na wsi najlepiej mieć specjalną skrzynię, bardzo długą, aby najdłuższych okryć nie składać, z sosnowego, pachnącego smołą drzewa). Na dno kufra położyć kilka arkuszy bibuły lub gazet, przepojonych prostą terpentyną. Po wierzchu futer to samo. Płótna okrywające futra nie dadzą zatłuścić ich terpentyną, coby grozić mogło przy bezpo-

średnim zetknięciu. Przed przechowaniem na lato, dobrze jest, — stosuje się to tylko do lutrów prawdziwych i imitowanych i do karakułów — wytrzeć je tępym z wełny, umaczanym w denaturacie. Wyciera się raz po razie, zawsze przeciw włosom. Denaturat obrzydza molom smak takiego futra i odbiera zupełnie apetyt do niego. Włos się oczyszcza i nabiera blasku. Po wytarciu futra potrzymać godzin parę w suchym miejscu, aby nie składać wilgotnego. Zapach denaturatu przez kilkakrotne trzymanie latem zupełnie zniknie. Bardzo zatłuszczone miejsca przy kołnierzu i rękach, i około rąk, dobrze jest natrzeć gruboziarnistym piaskiem, mocno rozgrzanym, — piasek zabierze tłuszcz i pierwotna puszystość futra powróci.

Futra należy przechowywać w chłodnym i ciemnym, lecz zupełnie suchym miejscu, nic ich tak nie niszczy jak wilgoć, gronostaje i szenszyle naprzykład, w wilgoci tracą zupełnie świeżość i żółkną, co się nie daje już wcale usunąć. Wszelkie białe futra przez zimę, od dymu węglowego na ulicy, kurzu na balach, w teatrze i w domu straciły swój śnieżny kolor i potrzebują wyczyszczenia. Daje się to zupełnie łatwo uskutecznić w domu, nie piorąc ich nawet wcale. W jakimś głębokim naczyniu, naprzykład salaterce, robi się mieszaninę benzyny i mąki kartoflanej i tą papką wyciera mocno całe futro w dwóch kierunkach z włosom i przeciw włosom. Po natarciu, nie usuwając benzynowej papki, dać futerku dobrze

wyschnąć, poczem wynieść na dwór lub na balkon i mocno wytrzeć i futro będzie jak nowe. Gdyby od pierwszego razu zabieg się niezupełnie udał, i pozostały miejsca niezbyt czyste, manipulację tę łatwo powtórzyć, a za skutek ręczę. Futra o długim włosie, lisy białe, kozy, muflony wyczyścić metalowym grzebieniem. Tak samo się czyści wszelkie futerka jasno popielate: popielice, krety, lisy, muflony i wszelkie futra jasne, farbowane, jak na przykład niezliczone imitacje z królików: bibrety, niby — szenszyle i t. p. Po odczyszczeniu futra, to samo należy zrobić z podszewką, szczególnie mocno wycierając zatłuszczone miejsce około szyi, po wysuszeniu i wytrzeć można przeprasować przez batyst, dla wygładzenia ewentualnych zgnieceń. Po paru dniach wietrzenia, zapach benzyny się ulotni, przełożyć na dni kilka liśćmi paczuli, która nada futrom miły zapach. Tylko gronostaje nie należy czyścić benzyną, natomiast można je odczyścić mąką pszenną, wycierając nią starannie całe futerko, mąka zabiera kurz i brud. To królewskie futro, niestety łatwo żółknie, i ta wada nie daje się niczem usunąć. Można do pewnego stopnia temu zapobiec, trzymając gronostaje w torbie z szafirowego lub czarnego materiału, w bardzo suchym miejscu i unikając ich zetknięcia z wszelkim tłuszczem, nawet terpentyną lub benzyną. Na pociechę właścicieli prawdziwych gronostaj dodam, iż — fałszywe nigdy nie żółkną — i to je zdradza.

Pani Elżbieta

„NOWOŚCI ILUSTROWANE”

Najpoczytniejszy tygodnik ilustrowany, wychodzący od 1903 roku.

Zawiera około 100 zdjęć z Polski i całego świata. Przegląd polityczny i aktualny z tygodnia. Bogaty dział mód, teatrów polskich, sportu. Dział beletrystyczny zawiera dwie powieści oraz nowele. Dział rozrywkowy: humor, szachy, szarady, liczne premjowane konkursy etc.

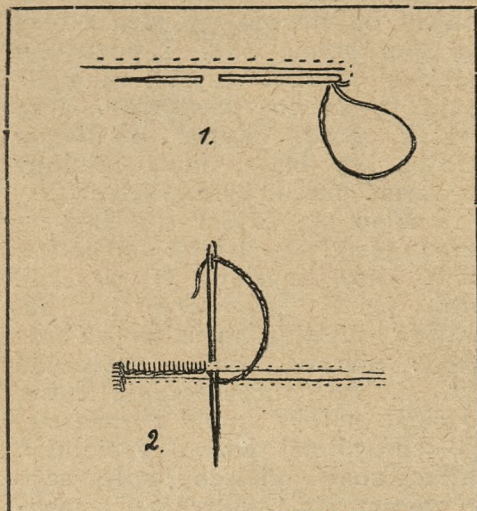
Wszędzie do nabycia!

Wszędzie do nabycia!

Prenumerata kwartalna zł. 7.50. Numer pojedynczy zł. —.75. Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach i na stacjach kolejowych.

Redakcja i Administracja: Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego 1. 95. Telefon „№ 479. Konto P. K. O. Kraków 400.519.

JAK SIĘ OBRABIA DZIURKI



Mocne, ładnie dziergane dziurki są koniecznym warunkiem dobrego wykończenia bielizny. Poniżej więc podaję kilka wskazówek, jak należy wykonać dziurki w bielinie.

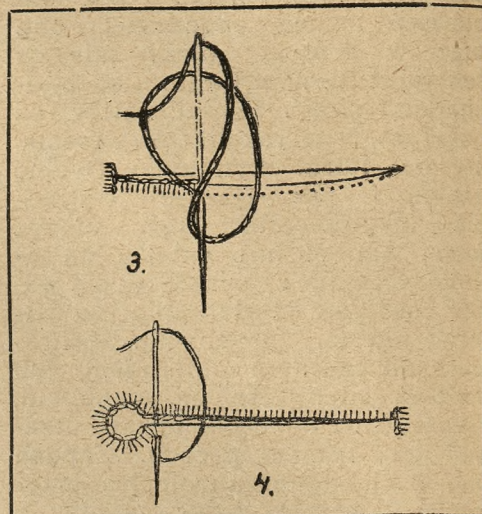
Chcąc, aby dziurka była mocna, to znaczy, aby brzegi jej nie przedzierały się przy zapinaniu, starać się trzeba, aby w miejscach, gdzie ma być zrobione zapięcie, materiał był złożony podwójnie. Po zrobieniu wymaganej długości nacięcia materiału, brzegi nacięcia oszywamy ściąganiem przed igłą. W ten

sposób łączymy — dwie warstwy materiału i zapobiegamy osuwaniu się i strzępieniu brzegów (rys. 1.) Po dokonaniu tego, zaczynamy dziergać brzegi dziurki. Wykonać to możemy dwoma sposobami:

Pierwszy sposób jest odpowiedni do cienkiej bielizny, nie wymagającej mocnego zapięcia, ponieważ brzeg tak zrobionej dziurki jest dość wąski i przez to słaby.

Wkładamy igłę przed wykonaniem poprzednio ściąganiem w kierunku przecięcia, podsuwamy koniec nitki, tkwiący w materiale pod igłą (rys. 2) i wyciągamy ją. Robimy następnie szereg takich ściągów w minimalnych odstępach równoległych do siebie, dopóki nie obwiedzimy dziurki dokoła. W kątach dziurki przeciągamy nitką kilka razy i w ten sposób powstaje jakby osnowa, którą dziergamy podobnie, jak brzeg materiału. t. zn. robimy tak zwany „rygielek”.

Drugi sposób dziergania dziurki, mocniejszy, odpowiedni do grubszej bielizny jest podobny do poprzedniego. Cała różnica polega na tym, że igłę wkładamy od przecięcia w kierunku materiału (to jest odwrotnie, niż poprzednim



sposobem) i pod igłę podsuwamy nie koniec nitki, tkwiący w materiale, lecz idący od uszka igły (Rys. 3) Dalszy przebieg dziergania jak poprzednio.

Do ubrań z grubszych materiałów stosuje się dziurki nieco inaczej wycięte. Mianowicie przy końcu prostego przecięcia, leżącego bliżej brzegu materiału, wycina się krążek. Brzegi krążka obrabia się w zwykły sposób i robi się tylko jeden rygielek po przeciwnej stronie zaokrąglenia (Rys. 4). Z. M.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SOSY DO ZIMNYCH MIĘS

„Cumberland”. Pół szklanki galarety porzeczkowej, kieliszek madery, łyżkę utartej na tarce cebuli, otarte na delikatnej tarce skórki z jednej cytryny i jejnej pomarańczy, sok z tej pomarańczy i tej cytryny wyciśnięte na maszynce, trochę papryki, szczyptę tartego imbiru, łyżkę angielskiej musztardy (gotowej, a nie w proszku). Postawić na ogniu i mieszać aż się dobrze zagrzeje i zrobi jednolita masa. Wylać w sosjerkę, zastudzić i podawać. Używa się głównie do zwierzyny, pasztetów i ciemnych mięs.

Łatwy sos majonezowy. Pół szklanki dobrego octu i pięć żółtek ubijać na ogniu, aż zgęstnieje, uważając, aby się nie zagotowało. Zdjąć z ognia, dodać dwie łyżeczki musztardy, najlepiej domowej, (jeżeli chcemy mieć sos ostry), na sos łagodniejszy, użyć musztardy francuskiej, osolić i wciąż ucierając w jedną stronę, wlać trzy duże łyżki oliwy. Gdy stanie się

gładki, wylać do sosjerki, — kto lubi, może dodać łyżeczkę cukru.

Chrzan ze śmietaną. Specjalnie smaczny do pieczonego lub gotowanego prosięcia, do pieczenia wieprzowej i schabu. Dwa duże korzonki chrzanu utrzeć na tarce, osolić, posypać łyżeczką cukru, zalać pół filiżanką dobrego octu, przykryć serwetą i pozostawić tak na godzin parę, aby chrzan stracił zbyt ostrą ostrość. Zasmażyć na białą dużą łyżkę maki w łyżce masła, rozprowadzić rosołem lub wodą, jak na bardzo zawiesisty sos, ostudzić, zmieszać z chrzaniem, dodać półkwaterek najlepszej, gęstej śmietany. Popróbować raz jeszcze, czy dosyć soli i cukru. Zastudzić dobrze i przełożyć do sosjerki.

CIEŁĘCINA Z BESZAMELEM

Zimną pieczeń cielecą pokrajać w zgrabne plastry i ułożyć na metalowym półmisku, posmarowanym masłem. łyżkę masła rozpuścić. wsypać w to dwie łyżki maki, zasmażyć na białą, rozpro-

wadzić trzema szklankami słodkiej śmietanki lub chociaż niezbieranego mleka, zagotować, ostudzić, zaprawić trzema surowymi żółtkami, wsypać w to garść tartego parmezanu lub innego ostrego sera, masą tą zalać cielecinę, posypać po wierzchu bułeczką tartą, zmieszaną z serem i wstawić w piec lub pod blachę na minut piętnaście, dla zrumienienia. Drobne kawałki pieczenia, nie dające się pokrajać ładnie, pokrajać w drobną kostkę, zmieszać z pokrajaną nerczką, ułożyć w muszelkach do paszteteków, zalać takim samym beszamelem, osypać tak samo bułeczką z serem, zrumienić i podawać bardzo gorące po zupie.

KROKIETKI Z DROBIU

Wszelkie resztki z indyka, lub kury starannie oskrobać z kości i przepuścić przez maszynkę. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką maki na białą, rozprowadzić szklanką mleka, ostudzić sos ten, zmieszać z usiekanem, osolić, dodać dla zapachu nieco kwiatu lub gałki musz-

katelowej. Wbić w to, zależnie od ilości masy, jedno lub dwa jaja, poprobować czy dosyć słone. Ro bić gałki rozmiaru małych jabłek, utarzać w mące, potem w rozbi tem jajku, nakonec znowu w su charku i smażyć jak pączki na roz palonym szmalcu lub fryturze. Gdy się zrumienią osączyć na sicie, ułożyć na serwecie, ubrać zieloną pietruszeczką, usmażoną w pozosta łym tłuszczu i obłożyć cytryną, po krajaną na podłużne ćwiartki. Jesz cze smaczniejsze są te krokietki, jeśli się je przed osmażeniem, zamiast panierowania, zamoczy w cieście, zrobionem ze szklanki mąki, dwóch żółtek, szklanki mleka, odrobiny soli i piany, ubitej z dwóch białek. Każdą gałkę macza się w tem cieście i natychmiast rzuca na roz palony tłuszcz. Ciasto zrumieni się bardzo prędko, a nadzienie po zostaje nierównie soczystsze niż przy pierwszym sposobie. Zamiast cytryny można podać do krokie tów dobry, zawieszisty sos pomido rowy.

PIERÓG ROŚYJSKI

Pozostałe rozmaite kawałki mię sa przepuścić przez maszynkę, do dając na pół kilo takiego mięsa, 10 deka cebuli, drobno pokrajanej i przesmażonej, z 10 deka słoninki od szynki, wymieszać razem z mię sem na patelni, farsz cały dobrze przesmażyć, osolić, popieprzyć, do dać dobrą szklankę rosółu lub wo dy, aby nie był zbyt suchy, odsta wić od ognia i dać zupełnie wy stygnąć. Trzy lub cztery jaja na twardo ugotowane usiekać niezbyt drobno. Dwadzieścia deka mąki rozczynić dwoma deka drożdży, rozpuszczonych w pół szklance let niej wody z pół litrem letniego mleka, przykryć płótnem, postawić w cieple. Gdy rozczyn ruszy, do dać czterdzieści deka mąki, dwa jaja, dobrą łyżkę masła, nieco soli, wyrobić ciasto aż od rąk od stanie, rozciągnąć cienko, położyć na brytfannie, osypanej mąką, w śro dek położyć mięsny farsz, ciasto z obu stron podjąć i złączyć na wierzchu, mocno zaciskając, aby przy pieczeniu się nie otwarło. Dać dobrze podrosnąć w ciepłym miejscu, posmarować żółtkiem i wsadzić w dobrze gorący piec. Po upieczeniu podawać gorący przed zupą, lub na drugie śniada nie. Do takiego pieroga podawać oddzielnie masło świeże, uformowa ne w kulki lub krążki.

SZPEKUCHY

Po święconem, kiedy pozostaje dużo obrzynków od szynki i bocz ku, najlepiej jest użyć je na te

smaczne i wcale nie starzejące się paszteciki. Czterdzieści deka ce buli pokrajać drobno i udusić na miękko z łyżką szmalcu, posolić, opieprzyć i zmieszać z czterdziesto ma deka słoninki od szynki gotowa nej, pokrajanej w drobną kostkę. Ciasto zrobić takie same, jak na pieróg rosyjski. Gdy ciasto po raz drugi (już po wyrobieniu go) pod rośnie, brać po małym kawałku te go ciasta, rozplaszczając, nadziewać ostudzoną słoninką, robić podłuż ne pierożki, układać na blachę, gdy podrosną, posmarować żółtkiem i upiec w dosyć gorącym piecu. Można też całe ciasto rozciągnąć cienko na stolnicy posypanej mą ką, nałożyć równą warstwę słoniny z cebulą, zwinąć jak struclę, zacisnąć dobrze, aby nie wypłynę ło, dać podrosnąć na brytfannie, posmarować żółtkiem i upiec. Po daje się szpekuchy zamiast pasztecików do barszczu, kapuśniaku i zupy szczawiowej. Stanowią też doskonałą przekąską do wódki.

Pani Elżbieta

Korespondencje działu praktycznego

Pani M. S. Kucewicz.

Plamy z likieru dadzą się wywabić tylko letnią wodą. Kapelusz szary na jasno złoty kolor nie da się ufar bować — prędzej już na brązowy rudawy — chyba, że szary kolor jest bardzo jasny.

Kapelusze są modne tylko małe, z wążutkami rondkami, obciska jące głowę, a formą przypomina jące hełmy, lub główki od męskie go melonika.

P. Bożewie S.

Radzimy przeczytać książkę dr. Mogilnickiego „O żywieniu niemowląt“.

P. St. N. z Kościerzyny.

O ile kilim nie jest bardzo brud ny, należy po dokładnem wytrze paniu posypać go odsączoną z sosu kapustą kwaszoną, która niech chwilę poleży. Następnie zczyścić kapustę ostrą miotelką. — Jeżeli bardzo brudny trzeba go zebrać szczotką ledwo letnim odwarem z wygotowanego mydlika z doda niem 25 gr. salomoniaku, na bar dzo duży kilim. Skoro już czysty, rozciągnąć mocno i zostawić w miejscu przewiewnem do wysu szenia.

Firma W. Krakowska egzystuje — adres: Al. Ujazdowskie Nr. 30.

Wzory mereżkowe podamy w „Bluszczu“.

Pani St. F. z Martynowa.

Kwiaty hortensji pojawiają się obficie jedynie na mocnem drzew ku z pędów, wypuszczanych na wiosnę przez pączki końcowe. Błędem jest poddawać roślinę pra widłowemu cięciu, bo obcina się najlepszy materiał kwiatowy. Obci namy tylko słabe, źle rozwijające się gałązki i taki pędzik, ucięty z kawałeczkiem starego drzewa, w pięć lub sześć tygodni po prze sadzeniu, stanowi doskonałą sad zonkę hortensji. Pod szkłem, a nawet i bez szkła w trzy do czterech tygodni sadzonki puszc zają korzenie. W tym samym roku wyrastają na silne roślinki, a następnej wiosny dają zdumie wającej wielkości kwiaty, jeżeli przez lato można je posadzić na półcienistą, bardzo urodzajną grządkę.

W jesieni wsadza się je do do niczek w tłustą ziemię i zimuje w miejscu wolnem od mrozu, w zimnym pokoju, lub ostatecznie w piwnicy — zaglądając od czasu do czasu, czy rośliny mają wilgoć umiarkowaną, jaka im jest w okre sie zimowym potrzebna. Jeżeli chcemy, aby kwiaty hortensji, za miast naturalnej, różowej barwy — przybrały inną, np. niebiesko-sta lową, trzeba użyć sztucznych do mieszek. Dla uzyskania koloru niebieskiego trzeba na spód do niczki na cienką warstwę ziemi położyć pół łyżki alunu, albo zmieszać ją z opitkami żelaznemi lub też z torfem. Od ilości zuży tej domieszki, zależy siła zabar wienia.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załawiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.

Od połowy kwietnia b. r. p. dr. Julja Switalska, obejmuje w „Blusz czu“ kierownictwo nowego działu: kosmetyki i higieny kobiety, oraz udzielać będzie odpowiedzi na napły wające z tego zakresu zapytania naszych Czytelniczek.

Opis sukien i robót do Nr. 15.

272. Palto „redingote”, z granatowego „kasha”, na szyi fular w kratę.

273. Kostjum z piaskowej wełny. Spódniczka z bokami plisowanemi—długa bluzka z surowego jedwabiu.

274. Kapelusz z georgetty rubinowej, przybrany mieniącą wstążeczką.

275. Suknia na ulicę z fiołkowego sukna, przybrana karbowanemi pasami z czarnego jedwabiu.

276. Sukienka z płócienka w kratę dla dziewczynki od lat 4 do 6.

277. Letnia suknia z deseniowego kreponu. Spódniczka układana w fałdy. Pasek i kokardka z jednokolorowej rypsowej wstążki.

278. Palto z wełny brązowej przybrane taśmą.

279. Palto z ottomanu czarnego. Materjał układany wzdłuż i w poprzek.

280. Suknia z białego crêpe marocain haftowana czarnym. Szal z białego crêpe de chine'u, objęty i haftowany czarnym jedwabiem.

281. Kapelusz z lekkiego filcu (będą noszone w lecie) z fantazyjnie przypiętymi paletkami, w trzech różnych kolorach.

282. Suknia z kreponu szafirowego — przybrana fantazyjnemi „guziczkami”. Pasek i kołnierz z czarnej, świecącej materji.

283. Suknia na ulicę z sukienka koloru „brique”, krawat czarny.

284. Letnia suknia z kreponu granatowego. Plisy z białego atlasu naszyte rułonikami z granatowego kreponu. Guziczki z perłowej masy.

285. Wzór na makatę nad dziecinne łóżeczko. Aplikacja na szarem płótnie. Wielkość naturalna 57×84 ctm.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach pocztowych P. K. O

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji
(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

PORADY KOSMETYCZNE

Wrzos. Płyn „Albareol” zwięża rozszerzone pory, matuje cerę. Smarować twarz parę razy dziennie, wagi znikną. Dobrze też myć twarz proszkiem alkalicznym „Sveno”.

Helena Z. Piegi radykalnie usunie Pani tylko za pomocą franc. płynu „Petunia”, czy wysłać? W takim razie prosimy o dokładny adres.

Stefanji Z. Mycie głowy co tydzień jest konieczne, lepiej mydłem płynnym jak „Pinaol”, jednak to zupełnie łupieżu nie usunie, w tym celu radzimy użyć ang. środków „Bisare”, usuwa łupież, powstrzymuje wypadanie włosów.

Poważnej. Zmarszczki lekko rozprawać kremem „Salome”. Adresy zawsze są przechowywane w dyskrecji. Marki na odpowiedź należy załączać.

Roemer.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Błyszczącej. Aby zmatować twarz i otłuścić cerę, radzę myć się w ciepłej wodzie otrąbkami Abaridowemi, przy jednoczesnym stosowaniu pastylek alkalicznych. Sposób użycia znajdzie pani przy każdym pudełku pastylek alkalicznych. Wśród dnia nacierać twarz płynem Baume aux fraises. Żadnego tłustego kremu używać nie można, jedynie wskazany jest nietłusty krem Abaridowy i takież puder, które odżywiają tkankę, zapobiegają tworzeniu się zmarszczek i nadają twarzy świeży i młodzińczy wygląd.

P. Julji. Włosy usunie Pani w kilka minut, stosując Epil-max. Wagi wygubi Pani płynem „Pureol” stosując jednocześnie do mycia otrąbki Abaridowe. Najlepiej myć twarz na noc w dobra ciepłej wodzie otrąbkami Abaridowemi. Dobrze jest w wodzie do mycia rozpuścić 1 pastylkę Alkaliczną, a cera będzie zawsze matowa.

Mme. Erceles.

Środki tu wymienione są do nabycia we wszystkich drogerjach i perfumerjach. Skład główny: Perfection, Szpitalna 10, Warszawa.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, TWO REKLAMY MIĘDZYNAR. Ska z Ogr. Odp. **OGŁOSZENIA** Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, „POWSZECHNE BIURO OGŁOSZEŃ”—Fredry 4. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Bieleńska 4. Centralne Biuro Ogłoszeń L. i E. METZL i Sp. — Jasna 17. Biuro dzienników S. UNGRA Senacka 12

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA, Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99 Tel. 239 40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

11 KWIETNIA 1925 r

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

Z KASZUB. Dn. 13 marca. Dnia 6 marca r. b. wojewoda pomorski dr. Wachowiak zwiedzał, z najbiedniejszych pewnie najbiedniejszy, powiat chojnicki, oraz z dawnego powiatu człuchowskiego kawałek ziemi, którą wcielono do powiatu chojnickiego. Piaski to i lasy i jeziora. Kaszubi zwykli mawiać „tu zaczyna się koniec świata”. — Z okazji więc przybycia Wojewody na nasze Kresy, przewodnicząca tow. „Pomorskich Ziemianek” p. Sikorska z Wielkich Chełmów na Kaszubach, a zarazem przewodnicząca „Chojnickiego Koła Ziemianek”, witając w imieniu Ziemianek Kaszubskich Wojewodę, zapoznała go w najgłośniejszych zarysach z historią tego kobiecego towarzystwa, o tak ideowych i wzniosłych celach, a można powiedzieć pierwszego na Pomorzu — w następujących słowach: „Jako delegatka Chojnickiego Koła Ziemianek witam na piaszczystych Kresach Kaszubskich wojewodę pomorskiego i pragnę zarazem zapoznać go z piękną historią tegoż towarzystwa na Pomorzu, bo jeżeli Rzeczpospolita Polska w dawnych swych granicach powróciła do bytu państwowego, to nie ostatnią w tym zasługę położyła Ziemianka Pomorska, której dom przez 3 pokolenia był na przemian to ochronką dla dzieci, to uniwersytetem ludowym, to salą posiedzeń, to izbą konspiracyjną, to szańcem obronnym. — Gdy Bismarck po raz pierwszy zapowiedział w sejmie zagładę żywiołowi polskiemu, wyraził, obawę przed polką — było to dla pomorskich kobiet wyzwaniem do walki. Napróżno nasi posłowie z ówczesnym prezesem Koła Polskiego w Berlinie, Ignacym Łączkowskim z Mieszew na Pomorzu

przeciwstawili się ustawom germanizacyjnym — uchwalono dla polaków prawa wyjątkowe, zwyciężyła zasada „siła przed prawem”. — Wtedy to naród, w bolesnym skupieniu, w ręce kobiety złożył przyszłość ojczyzny. W Mieszewach 1889 r. założyło pięć obywaterek tajne towarzystwo ziemianek — nazywając to towarzystwo „Nieśmiertelnym”. Należały do niego panie Donimirska z Łyżkowskich, Rutkowska z Rutkowskich, ks. Ogińska z Naćczyńskich, Sikorska z Łyżkowskich, Illicka z Łyżkowskich. Hasłem jego było: pod klątwą narodu nie wolno sprzedawać ani piędy ziemi Niemcom, a ziemię z rąk niemieckich choćby podstępem wykupywać! Dewizą towarzystwa: „Tyle ojczyzny, ile ziemi naszej na Pomorzu!” Chwiejne rodaczki miałyśmy upewniać, że wejdzie zorza wolności. — Już w roku 1910 w maju na prośbę p. Turnowej ze Słomowa, założyła p. Sikorska z Chełmów, na wzór zakładanych towarzystw przez p. Klemicką, pierwsze na Pomorzu „Koło Ziemianek” w Chojnicach — w tych Chojnicach historycznych, tak pamiętnych z walk prusaków i krzyżaków z polakami.

Prawie równocześnie zakłada pani hr. Potocka z Piątkowa Koła Ziemianek w Brodnicy i Toruniu — p. Połczyńska w Tucholi. Centrala tych kół była w Poznaniu; p. Potocka z Piątkowa i p. Sikorska z Chełmów weszły do Głównego Zarządu. W czasie wojny światowej Ziemianki niezmordowanie wspierały jeńców, a p. Kwilecka z Jankowic założyła sierociniec, gdzie przeszło 300 dzieci znalazło przytułek; później Ziemianki przenoszą ten sierociniec do Otorowa. Ziemianki Pomorskie oprócz wielkiej akcji charytatywnej — powzięły polityczną inicjatywę, z narażeniem życia wysyłając, posłankę do Komitetu Narodowego, aby powiedzieć: „Na Pomorzu na Was czekamy! dajcie nam wolność! Niema Pol-

ski bez Kaszub, a Kaszub bez Polski”. Żądałyśmy wcielenia Pomorza do Polski.

A gdy kajdany niewoli zrzuciło Pomorze, rwą się Ziemianki do pracy samodzielnej; p. hr. Potocka z Piątkowa i Sikorska z Wielkich Chełmów zwołują zebranie Ziemianek do Grudziądza 1921 r. i uchwalają tam oderwać się od Poznania i zerwać się do samodzielnego lotu. — Wybrano osobny zarząd, składający się z pań: hr. Potockiej, p. Janta — Połczyńskiej, Spaichertowej, Rudowskiej i Sikorskiej; Tę ostatnią obrano przewodniczącą; p. hr. Potocka przyjęła urząd sekretarki a p. Rudowska — kasjerki. — Wydział ogrodniczy przyjęła p. Speichertowa z Białobłot.

Najprzód zabrały się te panie do opracowania ustaw, uważając je za fundament towarzystwa, a następnie do zorganizowania wszystkich powiatów. Dziś wszystkie powiaty są zorganizowane, oprócz Kartuskiego i Gniewskiego; tak trudno w tych dwu powiatach znaleźć ludzi chętnych i ofiarnych, o pewnym uświadomieniu narodowym!

W każdym powiecie, gdzie jest zorganizowane „Koło Ziemianek” we wszystkich społecznych pracach Ziemianki biorą czynny udział, wspomagając wszelkie dobroczynne instytucje — zakładając i opiekując się ochronkami i sierocińcami dzieci z kresów. Ustawy tow. Pomorskich Ziemianek nakazują politykę narodową, prowadzącą Ojczyznę umiłowaną do świetności. Obecna przewodnicząca za najgłośniejszy cel towarzystwa uważa jednakże nie politykę, a spolszczenie Pomorza i pod tym względem na Pomorzu dzieją się wprost cuda. — Przy ostatnich wyborach niemieckich w 1913 r. wybrano w Prusach Zachodnich 3 posłów polaków, a 22 Niemców a teraz wprost wypadło odwrotnie!

Na ostatniem zebraniu Zarządu tow. Pom. Ziemianek uchwalono

założyć szkoły fachowe żeńskie na wzór szkół amerykańskich, czem ma się zająć zarząd Pom. Ziemiaków i na ten cel kupić od rządu resztówkę. s.

BRZEŚĆ NAD BUGIEM. Dnia 15 marca 1925 r. Zdarzeniem pierwszorzędnej wagi, w życiu kobiet naszego miasta, był przyjazd posłanki, p. Holder — Eggerowej, która w dniu 15 b. m. wygłosiła odczyt w sali Kina Społecznego.

Omawiając wszystkie kwestje polityczne doby obecnej, zagadnienia kulturalne i ekonomiczne, wogóle to wszystko, co w danej chwili najbardziej interesuje kobiety polską, a w szczególności, mniej uświadomioną politycznie, kobietę na Kresach, p. posłanka w słowach gorących wzywała kobiety do zrzeszania się, w celu wspólnej i owocniejszej pracy.

Zebrane licznie ze wszystkich sfer Brześcia kobiety, którym udało się pomyślnie wejść do sali Kina, gdyż wiele z nich pozostało na ulicy, nie mogąc się pomieścić w lokalu, witały owacyjnie panią Holder-Eggerową okrzykami: „niech żyje nasza posłanka!”, a po skończonym referacie, serdecznie dziękując za przyjazd, prosiły jednogłośnie, by zechciała jeszcze do nas powrócić.

Przyjazd p. Holder-Eggerowej wypadł właśnie w dniu pochodu i wiecu protestacyjnego, w którym wzięło udział kilka tysięcy osób.

Do wielkiego tłumu, ze sztandarami, transparentami i orkiestrami na czele, przemówiła między innymi z balkonu Magistratu p. Holder-Eggerowa w serdecznych i podniosłych słowach, kończąc swoje przemówienie słowami Roty:

„Nie damy ziemi skąd nasz ród,
Tak nam dopomóż Bóg”!! r-a

Z życia stowarzyszeń

— *Ochrona kobiet w Częstochowie.* Częstochowskie Tow. Ochrony Kobiet zawiesiło w czasie wojny całą swoją działalność i wogóle przestało istnieć. Dopiero w roku 1921 pewne grono osób postanowiło je wskrzesić.

Obecnie Towarzystwo prowadzi schronisko dla sierot dziewcząt, w którym wychowuje się w r. b. 35 dziewcząt. W schronisku prócz stałych wychowanek, znajdują także przytułek bezdomne, przyjezdne dziewczęta. Towarzystwo niesie też pomoc emigrantkom. Wysyła delegatki swoje na posiedzenia Komisji sanitarno-obyczajowej, celem oddziaływania na prostytutki, urządza raz na tydzień pogadanki umoralniające w szpitalu, przy ul. Wie-

luńskiej; wreszcie w tym roku zorganizowało Misję dworcową.

Towarzystwo spotyka się na każdym kroku z obojętnością ogółu i niezrozumieniem swoich zadań.

— *Rezolucja przeciw nierządowi.* Narodowa Organizacja Kobiet i Kółko Polek w Bydgoszczy, powzięły wspólną rezolucję, następującej treści:

1) Żądać ustawowego zniesienia reglamentacji prostytucji.

2) Bezwzględne ścigania rajfurstwa, domów schadzek, sprzedaży rzeczy pornograficznych.

3) Szerzyć zasadę, iż przepisy moralności obowiązują tak samo mężczyzn, jak i kobiety.

4) Organizacje kobiece winny ostrzegać członkinie swoje przed niebezpieczeństwem wielkich miast dla kobiet samotnych.

5) Żądać od władz państwowych, aby zakładały schroniska dla prostytutek, dążących do poprawy i aby ułatwiały im zdobycie pracy.

Jak widzimy rezolucje te są identyczne z postulatami, wysuwanymi przez stołeczne koła, interesujące się tą sprawą.

— *Wybór Zarządu.* Do Zarządu Tow. „Lechitek” w Gnieźnie wybrano jako przewodniczącą p. Kuszeninową, wiceprzewodniczącą Kurzeńską, sekretarkę Sendecką, zastępczynię Sobczakównę, skarbniczkę p. Tubacką. Do komisji rewizyjnej wybrano p. Kropaczewską i Karpińską.

Nauka i Sztuka

— *PIERWSZA ADWOKATKA.* W połowie marca zdała w Warszawie egzamin adwokacki pani Helena Wiewiórska, uzyskując tem samem prawo otwarcia kancelarii adwokackiej.

— *Stopień doktora filozofii* uniwersytetu warszawskiego otrzymały panie: Błaszowska Helena, Błaszowska Zofja i Michnikowska Stanisława.

— *Dyplom doktora chemii* uniwersytetu poznańskiego otrzymała w dniu 28 lutego 1925 r. p. Aurelja Rottówna z Łodzi, na podstawie rozprawy: „Metoda oznaczania ciężaru cząsteczkowego, oparta na zjawisku destylacji izotermicznej, w zastosowaniu do pomiaru stężania cząsteczkowego surowicy krwi i roztworów fizjologicznych”.

— *NA WYSTAWIE „PORTRETU”,* urządzonej przez Tow. Zachęty

Sztuk pięknych w Warszawie wyróżniają się dzieła malarek: Marji Koźniewskiej, Marji Czajkowskiej-Kozickiej, Anny Romerowej, Blanki Mercère, minjatury Janiny Bobińskiej-Paszkowskiej i Kazimierzy Dąbrowskiej.

— Na wojewódzkiej wystawie obrazów w Radomiu wystawiono pejzaże i kwiaty M. Płonowskiej i Makarewiczówny.

Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Do Zarządu „Polskiego Klubu Literackiego” w Warszawie weszła p. Zuzanna Rabska.

— Do Zarządu Związku Literatów we Lwowie wybrano p. p. Idę Wieniewską i Czernową na zastępczynią p. Bilińską. Jako delegatkę na Zjazd do Warszawy wyznaczono p. Orobkiewiczową. P. Ida Wieniewska objęła obowiązki sekretarki; bibliotekarką Związku została p. Mrozowicka, gospodynią lokalu p. Bilińska.

— Do Zarządu Okręgu Warszawskiego Związku Lekarzy Państwa Polskiego wybrana została dr. Wojnówna.

— Do Zarządu Syndykatu dziennikarzy weszła p. Janina Krawczyńska, współpracowniczką stała Kurjera Czerwonego.

— Do Zarządu stowarzyszenia słuchaczy Szkoły nauk politycznych wybrano p. p. H. Matecką, W. Ardasiewiczównę i M. Korolkiewiczównę.

— Do Zarządu „Tow. przyjaciół harcerzy” w Będzinie weszła jako przewodnicząca dr. Walewska.

— Do Komitetu Wykonawczego wystawy antyalkoholowej w Gnieźnie weszły panie, K. Kosiarkiewiczówna i Langowska.

— Do Komitetu redakcyjnego „Pszczelnictwa Polskiego” powołano p. Irenę Szczypiorską.

Kursy, odczyty, wykłady

— Dn. 22 marca na wlecu dem. chrześcijańskiej w Radlinie (Śląsk) przemawiała posłanka Stęślicka.

Jak donoszą pisma miejscowe, „p. S. w półtoragodzinnym referacie wykazała powody ciężkich warunków gospodarczych, podkreśliła wrogie tendencje Anglii i Niemiec wobec nas i wzywała do zgody

wszystkich w interesie narodowym. Referat posłanki Stęślickiej został przyjęty burzą oklasków".

— W Radomiu posłanka H. Stęślicka wygłosiła odczyt dla Radomskiego Koła chrz. dem. i dla członkiń chrześ. zw. zawodowych.

Na odczyt ten słuchaczki zeszły się tłumnie. Natomiast na odczyt tej samej prelegentki, przygotowany dla pań z inteligencji, przybyło do Klubu narodowego tylko kilkadziesiąt osób.

— Dn. 28 III. dr. Marja Skalińska wygłosiła w Muzeum Przem. i Rolnictwa w Warszawie odczyt p. t. „Wpływ środowiska na rozwój rośliny”.

— W niedzielę, dn. 22 marca docentka uniw. S. Zahorska wygłosiła w Sali Tow. Naukowego w Warszawie odczyt p. t. „Twórczość Matejki”.

— Dn. 29 marca dr. Rejcherówna wygłosiła w Stowarzyszeniu Zj. Ziemianek w Warszawie wykład „O istocie nowotworów złośliwych i ich zwalczaniu”.

— Na rocznym walnym zebraniu towarzystwa „Lechitek” w Gnieźnie odczyt o Bolesławie Chrobrym wygłosiła p. prof. Głapińska.

— Na wieczorze artystycznym w Związku młodzieży rękodzielniczej, urządzonym w dn. 21. III w Krakowie cieszyły się powodzeniem autorecytacje p. Michaliny Junoszańskiej.

— W Płocku 16 marca p. Myrtha Noel wygłosiła odczyt p. t. „Świątynia Słońca”.

Z życia prowincji

POZNAŃ. (Zjazd włościanek) W połowie czerwca odbyło się tu walne zebranie prezesek, wiceprezesek i delegowanych Kółek Włościanek, na które zjechały się do Poznania przedstawicielki całej Polski. Zjazd ten poprzedzony był Mszą św. w kościele Panny Marji przy Tumie, poczem w liczbie około 300 udano się na salę obrad Biblioteki Uniwersyteckiej przy ulicy Fr. Ratajczaka.

Walne zebranie zagaiła p. Niegolewska, poczem przewodnictwo objęła p. Brezowa. Bardzo obficie i wyczerpująco sprawozdanie z działalności Kółek za rok ubiegły wygłosiła p. Niegolewska, zaś sprawozdanie kasowe skarbniczka p. Mielecka. Ze sprawozdań tych dowiadujemy się, że wspólnie pracowały 72 kółka,

z których połowa działała bardzo intensywnie. Mówczyńie ubolewały nad brakiem wykładów z dziedziny gospodarstwa i ogrodnictwa. Z uznaniem podnoszono dotychczasowe kursy gospodarstwa, które wydały bardzo dodatnie wyniki. Sprawozdanie kasowe wykazuje saldo na rok bieżący w wysokości 400 zł. Składkę na ten rok podniesiono na 1 zł.

Referaty na temat: „O miłości Ojczyzny” wygłosiła p. Brownsdorfova, zaś na temat: „Ogród włościański” p. Oświecimska, nadto referat na temat: „Jak bronić młodzież przed zepsuciem” wygłosiła p. Chmielińska z Warszawy.

Obrady zakończono odśpiewaniem „Roty”, poczem udano się wspólnie na przedstawienie do Teatru Nowego im. Heleny Modrzejewskiej, gdzie dano sztukę „Grube Ryby” Bałuckiego. Po przedstawieniu odbyła się wspólna herbata. Następnego dnia o godz. 10 rano udano się wycieczką do Gniezna i do Uniwersytetu ludowego w Dalkach.

— **BIAŁA PODLASKA.** Z inicjatywy ruchliwej działaczki tutejszej p. Marji Kałuszyńskiej urządzono tu w dn. 17 marca przedstawienie amatorskie „Sędziów” Wyspiańskiego. Dochód z wieczoru przeznaczono na budowę sanatorium dla chorych gruźliczych, uczniów i uczenic tutejszego gimnazjum.

— **POZNAŃ.** Na wystawie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych zwraca uwagę kilimy p. Pauliszowej.

— **WILNO** 24. III. Władze zatwierdziły statut „Wileńskiego Towarzystwa pań św. Wincentego à Paulo”.

Wiadomości Zagraniczne

SZWAJCARJA. Kobiety na stanowiskach rządowych. Poraz pierwszy w dziejach państwa szwajcarskiego kobiety uzyskały wyższe stanowiska w instytucjach rządowych. Władze kantonu genewskiego mianowały członkami Komisji Opieki Społecznej panie: Dr. Mariette Schaetzel (Komisja Opieki nad Schroniskiem dla upośledzonych umysłowo), Dr. Maystre (Komisja Opieki nad szpitalem położniczym) i Jeanne Guilbert (Komisja Opieki nad nieletnimi).

NIEMCY. Udział kobiet w wyborach. Wedle statystyki urzędowej, liczba kobiet, korzystających z prawa głosowania, równa się prawie liczbie głosujących mężczyzn. Na-

ogół jednakże kobiety głosami swymi popierają listy stronnictw umiarkowanych i zachowawczych. Mężczyźni natomiast są usposobieni bardziej radykalnie. Jako przykład przytaczamy następujące zestawienie, zaczerpnięte z „Berliner Tageblattu”, a zawierające statystykę ostatnich wyborów w okręgu Spandawy:

Na liście	Mężcz.	Kob.
socjaldemokratów	10,767	10,071
niezależnych	116	111
komunistów	3,776	2,556
nacjonalistów	5,220	6,352
stronnictwa ludowego	1,694	1,796
demokratyczną	1,809	1,628
stronnictwa ekonomicznego	1,126	1,098
centrum	960	1,359
narodowych socjalistów	1,010	694
niemieckiego stronnictwa społecznego	191	694

Przegląd prasy

— „Goniec Kaliski” Nr. 65 drukuje p. Leona Żarskiego wspomnienia z niedawnej przeszłości p. t. „Konspiracyjne szkoły w Kaliszu”.

Autor opowiada o 4-oddziałowej szkole konspiracyjnej p. Emilji Bohowiczowej, w której uczyło się około 100 dzieci. Wykładały tam profesorowa Gałczyńska, Janowiczowa, Malina Pstrokońska (obecnie zamężna Deutschmanowa).

Prowadzona konspiracyjnie nauka wydawała bardzo dobre rezultaty.

Konspiracyjne nauczanie odbywało się również i w lokalach prywatnych, staraniem p. Wyganowskiej i Bohowiczowej.

Ze szkół tych dużo młodzieży w r. 1914 pospieszyło do Legjonów Polskich. Dużo oddało życie w bojach z moskalami.

— „Młodzież Polskiego Czerwonego Krzyża”, doskonale prowadzone pismo dla młodzieży i przez młodzież, zorganizowaną w Kołach Polskiego Czerwonego Krzyża, zamieszcza sporo artykułów młodszych i starszych współpracowniczek. W № 18 spotykamy I. Hebdzyńskiej-Szumlańskiej: „Sznujemy czas” i M. Skłodowskiej: „Płócienna okładka do książki” w № 20 St. Zawadzkiej — krótką nowelkę p. t. „Wróciły”.

— „Robotnik” Nr. 283 zamieszcza Wł. Weychert Szymanowski artykuł p. t. „W sprawie ustawy o ochronie pracy kobiet i młodocianych”. „Robotnicy w związkach zawodowych, pisze pani

W. murem stanąć powinni przy ustawie o ochronie pracy kobiet i młodocianych. Ruch emancy-pacyjny wywalczył już naogół dla kobiet inteligentek równą płacę za równą pracę przy tych samych kwalifikacjach. W stosunkach fabrycznych jednak jeszcze pierwszy stopień równouprawnienia ekono-micznego nie został osiągnięty. Zdarza się, że przy tej samej ma-szynie kobieta zarabia połowę, a nawet 3-cią część tego, co mężczyzna.

— „Ziemia Lubelska” Nr. 80 dru-kuje H. Dulębiny „Moje wspom-nienia z przeżyć w 1915—1917 r.— Z niedoli więźniów politycznych w Lublinie, wywiezionych następ-nie do Rosji”.— Autorka podnosi ofiarną działalność p. Jadwigi Dziubińskiej, która dla rato-wania jeńców i więźniów politycz-nych rzuciła w kraju rodzinę i wszystko, co drogie, a pojechała do Rosji, by wyszukiwać, ratować, osładzać niedole, żywić i odziewać rozsianych po Syberji jeńców wo-jennych.

— „Wychodźca” Nr. 12 w artvkule p. t. „Widoki emigracji do Peru” pisze „Dzięki działalności niektó-rych wybitnych jednostek polacy historycznie mają doskonałą opinię w Peru. Niestety ujemny wpływ na opinię tę wywierają żydzi, su-tenerzy i kobiety żydówki złego prowadzenia, którzy uchodzą w Peru za „Polacos”.

„Ognisko” (Paryż) drukuje Ewy Mickun, wywiad z polskim Radcą emigracyjnym w Paryżu.

W tym samym numerze znajdu-jemy gorący artykuł, poświęcony Stefanji Krętuszonej, która poświęciwszy się za siostrę, odsiadywała przez rok cały wię-zienie. Sprawę jej rozpatrywał niedawno sąd w Katowicach

— „Stadjon” Nr. 13 zamieszcza artykuł K. Muszałówny „W sprawie niezbędnej federacji”. Autorka

polemizuje ze sportowcami, którzy twierdzą że federacja kobiecych stowarzyszeń sportowych jest zby-teczna.

W tymże numerze K. Muszałów-na w zwykłej rubryce swojej p. t. „Życie sportowe kobiet” opowiada o zamierzonym w tym roku czwar-tym Kongresie francuskich spor-towych federacji kobiecych.

— „Gazeta Gdańska” Nr. 15 zdaje sprawę z zebrania między-stowarzyszeniowego w Warszawie w sprawie prostytucji, handlu ży-wym towarem i emigracji kobiet naszych do Francji. Artykuł ów zatytułowany „Polki we Francji” jest wzorem nieścisłości i rozmyślnych opuszczania i prze-milczania. Komiczne wrażenie robi uwaga sprawozdawcy: „Po coś więc jadą te tysiące kobiet do Francji? Niech lepiej zostaną w kra-ju!” Bogdaj to mieć prasę, która się orientuje w zagadnieniach spo-łecznych!

— „Płomyk” Nr. 30 drukuje Wandy Dalewskiej wiersz na „Dzień 24 marca 1794”, Ha-liny Dernałowiczówny „Szczęśliwy kraj leniuszków”. H. Żółtowskiej „Zwyczaj i prze-sady przy wiosennej pracy rol-nika”. A. Makowieckiej: „Przy-laszczka”. M. Skłodowskiej „Wycieraczka do piór”.

— „Kurjer Warszawski” Nr. 70 zamieszcza artykuł Ireny Szum-lakowskiej „O organizację życia”.

— „Gazeta Gdańska” N-ry 68 i 69 drukuje Marji Rzewu-skiej szkic historyczny „Anglja wobec Gdańska” (konferencja ks. M. Ogińskiego z ministrem Pittem w sprawie Gdańska).

„Bibliofilia”, pismo włoskie wy-chodzące we Florencji, zamieszcza artykuł Z. Rabskiej o rozwoju bibliofilizmu polskiego.

— „Iskry” Nr. 12 drukują Wandy Prażmowskiej „Najpiękniejszy dzwon”.

— „Wiadomości Literackie” Nr. 13 zamieszcza na wstępie arty-kuł Zofji Morstinowej p. t. „Najnowszy system krytyki lite-rackiej”.

— „Lech” Nr. 70 (Gniezno) dru-kuje St. Laudyn-Chrzanow-skiej „Ameryka i Polska wobec sprawy żydowskiej”.

Wiadomości bieżące

CZYN OBYWATELSKI. P. Jul-ja Więckowska dn. 21 marca 1925 r. zapisała cały swój majątek dobra Brzeście A. i Juljuszów w po-wiecie Kozienickim, obejmujące 1018 morgów ziemi, zabudo-wania, inwentarz żywy i martwy na rzecz Towarzystwa dla prowadzenia i utrzymywania średniej szkoły żeń-skiej w Radomiu.

Dzięki tej hojnej darowiźnie po-wstać ma niebawem w Radomiu kompleks żeńskich zakładów na-ukowych, a zarazem kolonje letnie dla niezamożnej, uczącej się mło-dzieży żeńskiej, oraz dla nauczy-cieli emerytów.

GIEŁDA HANDLU ŻYWYM TO-WAREM. Władzom strassburskim udało się wykryć organizację, upra-wiającą handel żywym towarem, tudzież stwierdzić, że taka sama organizacja znajduje się również w Hamburgu. Z okazji aresztowa-nia dwóch agentów, zajmujących się tym han-dlem, niejakiego Argenda i Thioliera, który występował pod nazwiskiem Mathis, wyszło na jaw istnienia w Stras-burgu giełdy, która głównie wysyłała t. zw. „ży-wy towar” do Ameryki południowej i Państw Bałtyckich.

SPRAWA POLICJI KOBIECEJ ZNAJDUJE SIĘ JUŻ NA DRODZE REALIZACJI. Komisje: lekarska i kwalifikacyjna przvjęły w dniu 28 marca—26 kandydatek. Kurs szkolenia rozpocznie się 15 kwiet-nia i trwać będzie 3 miesiące.

Wszystkie korespondentki i czytelniczki nasze prosimy o nadsyłanie fo-tografji, ilustrujących życie i działalność kobiet w ich okolicy. Foto-grafje te reprodukowane będą na łamach „Komunikatu”. Należy dobrać odbitki wyraźne i niezbyt zapelnione postaciami.

Sekretariat Biura Prasowego
dla spraw kobiecych